№ 11. Warszawa, dnia 12 Marca (28 Lutego) 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: Wysyłka administracyjna. — Leopolitana p. Juniusa. — Dziki Tomek p. Marrené. — Tajemnice duszy (dokończenie) p. F. Bogackiego. — Badania historyczne: Mieszko Stary i jego wiek. S. Smolki p. W. Smoleńskiego. — Badania matematyczno-historyczne p. S. Dicksteina. — Pogadanki naukowe: O gramatyce porównawczej języków indoeuropejskich I. p. J. Baudouina de Courtenay. — Kronika rosyjska. — Liberum veto. — Tydzień polityczny. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi.

Upraszamy szan. abonentów naszych o wczesne nadsyłanie kwartalnej przedpłaty i tym sposobem oszczędzenie sobie przerw w odbiorze pisma a nam kłopotu i kosztu przedrukowywania jego wyczerpanych numerów. Skutkiem licznych opóźnień w kwartale bieżącym niektóre numera *Prawdy* musieliśmy drukować trzykrotnie. Ci z szan. abonentów prowincyonalnych, którzy z jakichkolwiek bądź powodów nie zdążą przesłać pieniędzy przed kwartałem a życzą sobie nadal otrzymywać *Prawdę*, zechcą uwiadomić nas listownie.

Bezpłatny dodatek do *Prawdy*: **Sprawa polska w literaturze rosyjskiej**—rozesłanym będzie przy ostatnim numerze kwartału bieżącego.

WYSYŁKA ADMINISTRACYJNA.

Rok 1866 słusznie nazwano w życiu Rosyi datą nowej epoki. Wtedy to bowiem pozbawiona wszechwładzy administracya ustąpiła miejsca pod kontrolą ustaw działającym sądom, losy milionów przeszły z rąk samowoli policyjnej w ręce prawa. Była to chwila głębokiego, błogiego oddechu po zrzuceniu ciężaru z piersi narodu. Nic też dziwnego, że wprowadzenie reformy sądowej powitano niezmiernym zapałem i wysnuto z niej najrądośniejsze nadzieje, nadzieje obywatelskiego bezpieczeństwa. I jakże było nie cieszyć się, nie marzyć, kiedy Ustawa postępowania karnego głosiła wyraźnie: „Nikt nie może podlegać dochodzeniu sądowemu za przestępstwo lub występek, kto nie był pociągnięty do odpowiedzialności sposobem, oznaczonym przez przepisy tej ustawy. Nikt nie może być ani zaaresztowany, z wyjątkiem wypadków wskazanych przez prawo, ani zatrzymany w miejscach, nieprzeznaczonych ku temu przez prawo... Nikt nie może być ukarany za przestępstwo lub występek, podpadający pod jurysdykcyę sądową inaczej, jak na mocy wyroku odpowiedniego sądu, który się należycie uprawomocnił."

Taka była podstawa nowej procedury. Od chwili wprowadzenia jej upłynęło lat kilkanaście, w ciągu których ubezwładniona administracya nietylko powoli zaczęła odzyskiwać straconą siłę, ale wróciła do dawnej wszechmocy. Skutkiem tego wytworzyła się w ustroju państwa dziwna, niczem niezłagodzona sprzeczność: z jednej strony jawna księga praw głosiła wielką zasadę: *neminem captivabimus nisi jure victum*, z drugiej—tajemna księga rozporządzeń (okólników administracyjnych) unieważniła tę zasadę i stwarzała sobie doraźną, niepodległą procedurę. Ujemne skutki tej kolizyi uznał naprzód sam rząd, zniósłszy tak zwany III wydział i poddawszy go pod zwierzchnictwo ministeryum spraw wewnętrznych. Naród jednakże, który głęboko odczuwał niezależne od sądów gospodarstwo administracyi, zaczął ciągle dopominać się o ujednostajnienie sprawiedliwości, o wykonanie woli Monarszej, wyrażonej w ustawach z 1866 r., zabezpieczających osobiste prawa każdego obywatela, słowem o zniesienie tak zwanej *ssyłki administracyjnej*. W pismach rosyjskich, w rozmaitych zebraniach sprawa ta zmartwychwstawała ciągle, aż nareszcie na posiedzeniu szlachty petersburskiej 1 marcca wskrzesił ją członek tego zgromadzenia A. E. Szakiejew w sposób tak gruntowny, dzielny i prawdopodobnie skuteczny, że dziś jego mowa w tym przedmiocie jest może najwydatniejszym objawem bieżącego życia Rosyi. Ponieważ zaś ona potrąca ważne interesa wszystkich żywiołów państwa, przeto poznajomimy z nią choć ogólnie czytelnika, tem bardziej, że praktycznym jej rezultem jest prośba szlachty petersburskiej, zaniesiona do Tronu o „zniesienie wysyłki administracyjnej jako nieopartej na prawie i o ubezpieczenie osoby każdego obywatela."

Szakiejew, przytoczywszy w obszernym wywodzie artykuły ustaw sądowych, przeszedł do zbadania podstaw administracyjnej wysyłki. „Uwaga do 1 art. Ustawy postępowania karnego brzmi tak: Do sądowego dochodzenia nie należą środki, przedsiębrane przez policyę i inne władze administracyjne dla zapobieżenia i przecięcia przestępstw i występków sposobem, określonym przez prawo. Na pozór zdaje się, że uwaga ta daje administracyi prawo wysyłania bez sądu dla zapobieżenia przestępstwom. Lecz pogląd taki byłby błędnym. Ustawa o zapobieganiu i powstrzymywaniu przestępstw, wyłożona w postaci nakazu dla administracyi, znajduje się w XIV t. *Zbioru praw*, a tam nigdzie nie ma wzmianki o wysyłaniu bez sądu. Uwaga do 1 art. Ustawy postępow. karn. odnosi się głównie do 3 rozdziału części 6-ej, zatytułowanej „O zdrożnem postępowaniu". W tej 6-ej części t. XIV po raz pierwszy spotykamy się z typem administracyjnej wysyłki. W prawie nie nosi ona tego miana, lecz zwie się inaczej, łagodniej: „oddaniem zdrożnego człowieka do rozporządzenia rządu."

Załatwiwszy się z rozbiorem artykułów prawnych, Szakiejew zawiera je w następujących uwagach ogólnych: „Po wprowadzeniu reformy sądowej, obywatel rosyjski mógł rozumować mniej więcej tak: moja osoba i moje ognisko domowe są nietykalne; gdy do mojego domu wejdą przedstawiciele sądu i administracyi, mogę żądać od nich usprawiedliwienia tego wejścia, jeśli zechcą mnie zaaresztować bez prawnej

zasady, mogę oprzeć się takiemu gwałtowi i nadużycie władzy nie pozostanie bez kary; na wszelkie wreszcie bezprawne uwięzienie mogę podać skargę i skarga ta będzie uwzględniona.“ Mówca przypomina niedawne wypadki nieograniczonego gospodarstwa administracyi z pominięciem wszelkich praw, kreśli obraz rozczarowania i przerażenia w społeczeństwie, które ogłuszone niespodziewanie straciło przytomność i zbłąkało się w sposobach legalnego zasłonięcia się od druzgoczących ciosów. „Pomału jednak — mówi Szakiejew — zobojętniało. Bez szemrania i protestów rozstawało się ono ze swymi członkami. Szeregi administracyjnych wygnańców zaczynają napełniać się nieletnią młodzieżą. Często nie popełniwszy żadnej winy, prócz znajomości, pokrewieństwa lub przyjaźni z człowiekiem niebezpiecznego kierunku, młodzież ta szła na bezcelową zatratę nietylko w dalszych guberniach Rosyi, ale i w Syberyi. I czemże pocieszyć się miała pozostała na miejscu część społeczeństwa? Czyż mogła marzyć o jakichkolwiek ideałach spokojnego rozwoju, kiedy niemal co dzień lista ludzi, cierpiących czasem za nieostrożne słowo lub przekonania, za przejęty i źle przez administracyę wytłomaczony list, za kłamliwe donieścienie niższego ajenta, za ostry protest przeciw gwałtowi — pomnażała się dziesiątkami nazwisk, kiedy wszyscy błąkaliśmy się po omacku? Wysyłkę nawet z wyroków sądowych potępili uczeni kryminaliści; a tymczasem wysyłka administracyjna dostarczyła od r. 1870 — 1877 Zachodniej Syberyi 57,249 skazarych, a Wschodniej 6,193. Dołączcie panowie do tego nieznaną ściśle, bezwątpienia znaczną cyfrę wysłanych do dalszych gubernij Rosyi, a mimo woli zastanowicie się nad pytaniem: co robić z taką epidemią? Jaki rezultat wydała ta gorliwość administracyi; co uprzedzono, co przecięto? Bolesnie wyznać... nic! Taką przeżyliśmy dobę. Dziś oddychamy swobodniej, rany społeczeństwa zaczynają się goić. Śród największego rozwielmożnienia się reakcyi na czele administracyi z niebywałymi przywilejami wola Monarchy postawiła człowieka, który, bez względu na okropność czasu, dzielnie wytrącił administracyę z jej nieprawidłowego toru; on mądrze pojął, że Rosyę zbawić można nie środkami represyjnymi, lecz przywróceniem prawa. Z tem słowem i przyrzeczeniem zwrócił się on do społeczeństwa i dowiódł wkrótce, że wyrazy jego nie są frazesami: zwinięto III wydział, wysłanych zaczęto powracać do domu. Pomimo wszakże całej naszej wdzięczności dla tego męża stanu, niezależnie od wszystkiego, co on zdziałać może w tym kierunku, potrzeba nam czegoś więcej, potrzeba nam Monarszego słowa, że już administracyjnej wysyłki nie będzie, że ktokolwiek by stanął na czele administracyi, jakiekolwiek miałby przekonania, nie wskrzesi tych strasznych czasów, które przeżyliśmy... Wystawcie sobie, jaki radośny okrzyk rozlegnie się po całej ziemi rosyjskiej, gdy zabrzmi to słowo; setki zmęczonych duchowo i fizycznie ludzi powróci do swych rodzin, błogosławiąc imię swojego Monarchy, który ich powrócił do nowego życia.“

Taka jest w głównych punktach mowa Szakiejewa. Nie możemy nad jej przedmiotem zastanawiać się bliżej, a nawet, szczerze mówiąc, nie potrzebujemy. Bo chyba teoretyczna strona tej sprawy nie wymaga wcale ani wywodów, ani dowodów i jest najzupełniej załatwioną; praktyczna zaś leży po za granicą naszych sił i uprawnionych życzeń. Jeżeli prasa rosyjska wprowadziła administracyjną wysyłkę pod publiczne rozprawy, to miała na widoku oddziałanie na sfery rządowe w kierunku pożądanym. Pismo polskie, nie roszcząc sobie takiego znaczenia, nie może podejmować takiej roli. To też przytoczyliśmy mowę Szakiejewa nie dla tego, ażeby pod jej osłoną lub przy niej zabierać głos, którego echo nie wybiega po za koło naszych czytelników i nie sięga wysoko, ale dla tego jedynie, żeby zaznaczyć bardzo poważny objaw opinii rosyjskiej, który pośrednio w pewnym kierunku i nas dotyczy. A jeżeli prośba szlachty petersburskiej zyska w najwyższych sferach przychylne uznanie, w osiągniętym przez nią rezultacie i dla nas odpowiedni dział korzyści przypadnie.

LEOPOLITANA.

IV.

Aggredior opus difficile! Zamierzam Wam dziś pisać o „t. z. „kwestyi ruskiej w Galicyi,“ która od pewnego czasu w wiedeńskich centralistycznych pismach odgrywa rolę morskiego węża. Zabierając się do tego niewdzięcznego dzieła, sam nie wiem, z jakiej mam zacząć beczki, i czy lutnię moją do poważnego, czy też humorystycznego mam dostroić kamertonu? Wistocie i jedno i drugie byłoby tu równie właściwem; —jeżeli bowiem z jednej strony „polityczna ta dziura w moście“ tamuje pochód nasz na drodze rozwoju i postępu, to z drugiej znów mamy tu do czynienia z jednym z owych klarnetów, o których Wam w poprzednim pisałem liście, — z klarnetem, którego dźwięk piskliwy budzi sympatyczne echa, heu! nad dalekim Dunajem, i — o dziwo! — do łez rzewnych w tej chwili poruszа puszczonych w doczesną odstawkę centralistycznych krokodylów.

Nieobeznanym z tą muzyką mogą się echa stamtąd słyszane łatwo wydawać jako głos Racheli, która opłakuje synów swoich, mordowanych przez Heroda w galicyjskiej Romie, — a ci, którzy czytając wiedeńskie centralistyczne dzienniki, z pism tych czerpią swoje poglądy, mogą łatwo na podstawie zamieszczanych tamże „jęków boleści“ powziąć przekonanie, jakoby(?) w Galicyi istniał odrębny naród ruski, odrębności swej zupełnie świadomy, a w rozwoju swoim, w prawach swych i swobodach srodze przez „szlachecką, łacińsko-polską

DZIKI TOMEK

Sala sądowa była rzęsisto oświecona. Sprawa przeciągnęła się do wieczora, bo też i dzień grudniowy był bardzo krótki, szary i posępny.

Słuchano świadków, dopełniono śledztwa, potem powstał prokurator, w wymownych słowach opisał przestępstwo, ugrupował dowody, i kwiecistym stylem, jakim celował, wystąpił w charakterze wielkiego społecznego moralizatora. Wspomniał o szerzącem się zepsuciu, o zgubnych obyczajach, o zatraceniu pojęć moralnych, o przykładzie, jaki wysoki sąd winien był dać ogółowi, wspomniał coś także, chociaż mniej wyraźnie, o obowiązkach i sprawiedliwości a w rezultacie domagał się natarczywie, by w tym wypadku postąpiono z całą surowością prawa.

Nawiasem mówiąc, szanowny prokurator czynił to, ile razy tylko pełnił swój urząd; to też znanym był z surowości swoich wniosków, z kaznodziejskiego zapału i z kilku innych właściwości. I tak np. skoro tylko sprawa przeciągała się dłużej, co często miało miejsce dzięki jego krasomówstwu, pan prokurator z lekkiem sumieniem, jak człowiek, który dopełnił wszystkiego, co dopełnić był powinien, szedł zwykle do klubu. W domu bowiem żona i dzieci zapewne dawno już obiad spożyły; w klubie zaś miał na zawołanie i obiad i szampana i towarzystwo, z którem zwykle zasiadał do kart. Wiadomo, iż przy szampanie i kartach czas płynie szybko; pan prokurator też najczęściej nad ranem dopiero wracał do domu, i, rzecz dziwna, stosownie do powodzeń lub niepowodzeń w grze, patrzał na świat w optymistyczny lub pesymistyczny sposób. W pierwszym razie uśmiechał się rozkosznie a wszyscy oskarżeni wydawali mu się niewinni, jak gołębie; w drugim, a przyznać to trzeba, nie równie częstszym razie, widział znowu zbrodniarza w każdej bez wyjątku ludzkiej istocie, jaka mu pod oczy podpadła, nie wyjmując żony i dzieci. Z tego powodu nieraz nawet zdarzało mu się obchodzić z niemi jak ze zbrodniarzami.

Niektórzy nazywali to zbytkiem gorliwości; co do mnie, sądzę, że miał słuszność; bo przecież kiedy się jest prokuratorem, należy pamiętać o swojej godności i przypominać ją drugim.

Sprawa, w której teraz zabierał głos wysoki urzędnik sądowy, nie przedstawiała wielkiego interesu. Nie była to ani zaciekawiająca zbrodnia, której psychiczne motywa zwabiają do sali sądowej, nie już samych reporterów dziennikarskich, ale powieściopisarzy i powieściopisarki; nie było w niej ani przyprawy skandalu, ani przestępcy, należącego do wyższych warstw społecznych, ani nawet zakwestyonowanego porządku władz umysłowych. Szło o rzecz niezmiernie zwyczajną: o prosty rabunek na publicznej drodze, przyczem jakiś stary żyd, uderzony pałką w głowę, zakończył życie. Suma nawet, którą chciał przywłaszczyć sobie morderca, była mało znacząca; wynosiła co najwyżej paręset rubli, zaledwie tyle, ile kosztuje elegancka suknia balowa. Prawdziwie nie było się czem zajmować.

A jednak zajmowano się. Wielka o korynckich kolumnach sala pełną była, nie owej zwykłej hałastry obdartusów i kapociarzy, którzy szukają tu widowiska, praktycznej nauki z demonstracyą na żywych przykładach, lub w końcu ciepłego kąta, gdzieby bezpłatnie spocząć i ogrzać się mogli — ale pełną istotnej publiczności.

Składały ją piękne panie, w kapeluszach, na których znać było pochodzenie z pierwszych magazynów, pawie pąsowe i różnokolorowe pióra chwiały się nad jasnymi i czarnymi warkoczami, migotały gdzie niegdzie złote zapinki. Z pod spuszczonych figlarnie grzywek jaśniały żywe spojrzenia,

intrygę" krzywdzony. Tymczasem nie ma nic bardziej z prawdą niezgodnego nad te „bolesne jęki," i najdrażliwszy nawet z tych ruskich Jeremiaszów, którzy skargi owe na wrzekomy ucisk polski podnoszą, nie zdołałby sumiennie przytoczyć jednego faktu, stwierdzającego prawdziwość tych żalów. Nie bywa u nas nikt prześladowanym, z powodu iż wedle grecko-unickiego obrządku Boga chwali, lub się do „ruskiej narodowości" poczuwa. Droga do wszystkich dostojeństw i zaszczytów jest tak samo dla rusinów jak i dla polaków otwartą; a jedynym względem, który w razie współzawodnictwa pomiędzy ruskim a polskim kandydatem o wyborze rozstrzyga, są zdolności, pilność i zasługi pretendenta. Swobodnemu rozwojowi ruskiej narodowości, ba nawet agitacyom rozkładowym, przez ruskich *narodołubców* prowadzonym nie stawi nikt zapory, a najlepszym tego dowodem jest swoboda, której w tej mierze używają i nadużywają pisma ruskie, walczące oczywistym fałszem, a krzewiące jad społeczny i nienawiść przeciw polakom, jakoteż waśń wyznaniową. Mowa ruska używa w sejmie, w szkole i w urzędzie tych samych praw, co i mowa polska, a o zastosowaniu tego lub owego wykładowego w szkole języka stanowi gmina, której orzeczeniu nikt się nie sprzeciwia, w razie gdy się ona za ruską mową jako wykładowym językiem oświadcza. Ilość wreszcie ludowych i średnich szkół ruskich stosuje się do potrzeby, i nie jest to wcale winą „łacińsko-polskiej szlacheckiej intrygi," jeżeli tak mały procent rusinów nauki w ruskiej mowie pobiera, a znaczna bardzo liczba ruskiej młodzieży, pomimo istnienia ruskich szkół ludowych i średnich, do polskich i niemieckich nawet zakładów naukowych uczęszcza. Jest to prosty wynik wyższej po stronie naszej cywilizacyi, większego mowy naszej wydoskonalenia, poważniejszego jej w społeczeństwie naszem stanowiska, nic więcej! Trudno jest winić o to polaków, że stanowisko to językowi swemu pracą licznych pokoleń wywalczyli, — tak samo jak trudno jest, przy uznanej zasadzie indywidualnej wolności i narodowego równouprawnienia, zmuszać młodzież ruską, aby, dlatego że się ruską urodziła, do ruskiej uczęszczała szkoły, albo też zakładać gimnazya z ruskim wykładowym językiem na to tylko, aby istniały od parady. Tego jednakże domagają się obecnie ruscy narodolubcy, a że się życzeniom ich nie czyni zadość, *inde irae!*

Wszystkie te dążenia, pretensye i zachcianki, wrzekomo w jego imieniu podnoszone, są dla ogółu ruskiego w naszej dzielnicy zupełnie obojętnym przedmiotem, a kłótnia o wiatr, która tak roznamiętnia jego samozwańczych rzeczników, nie budzi w jego umyśle najmniejszego zajęcia. Nie posiadając żadnych tradycyj samoistnego narodowego bytu, — przestrzenią i czasem daleki od owej kozaczej Ukrainy, kędy za czasów Bohdana Chmielnickiego rozbudziły się były w ruskim ludzie mgliste jakieś dążenia do samodzielności, zakreśla kmiotek nasz ruski — on bowiem a nie kto inny stanowi lud właściwy — widnokrąg swój kopcami rodzimej wioski, gdzie go ciemnota i bezradność w nędzy pogrąża, — gdzie mu zdzierca-żyd letejski trunek zapomnienia blaszanką wymierza, — gdzie mu paroch miejscowy pociechę niebieską krwawo zapracowanym groszem opłacać każe, — gdzie wreszcie w dworskim sadzie rodzą drzewa soczyste gruszki i czerwone jabłka, ciekawość jego i pożądliwość budzące. Obcemi mu też są sympatye i antypatye jego prowodyrów, obcymi ich jałowe lingwistyczne swary, ich polityczne mrzonki, jakoteż ich etnograficzne poglądy, czy takowe Ruś jako odrośl innego, nie polskiego narodowego pnia, czy też jako samoistny społeczny organizm pojmują. Dla polaka jako polaka nie żywi kmiotek ruski żadnej nienawiści; czując to dobrze, że jakkolwiek go od nas różni mowa i obrządek, to jednakże łączy go z nami główna cecha wspólnej narodowości — tożsamość pochodzenia i obyczaju. Do różnic, o których właśnie wspomniałem nie przywiązuje zresztą, pomimo silnej w tej mierze agitacyi narodolubców, lud ruski żadnej wagi; — zazwyczaj bowiem poczyna rusin, przyszedłszy do pewnego dobrobytu i pewnego nabrawszy wykształcenia, używać polskiego języka w domowem pożyciu, porzucając przy tej sposobności często bardzo obrządek grecki dla łacińskiego.

Tak tedy nie ma t. z. „kwestya ruska," w politycznem tego słowa znaczeniu w umyśle katolickiego ruskiego ludu żadnego gruntu, a „bolesne jęki" ruskich Jeremiaszów, grasujące obecnie w szpaltach wiedeńskich pism centralistycznych, nie są niczem innem, jak tylko dźwiękiem klarnetu, którego piosnka nie jest wcale śpiewem, wyrywającym się z piersi naszego społeczeństwa. Legenda o srodze uciśnionej ruskiej narodowości należy, jak już powiedziałem, do rzędu bajek o morskich wężach, a knowania narodolubców, będące wprawdzie zawsze kulą u nóg naszych, i „polityczną dziurą w moście," stojącą postępowi naszemu na drodze, nie są nam wcale niebezpiecznemi, jak długo polem ich wichrzeń są polityczne mrzonki, lub jałowe lingwistyczne swary, dla których lud nasz ruski nie ma wcale zrozumienia. Tak zwana „kwestya ruska" w Galicyi jest, skutkiem miejscowych właściwości wschodniej części naszego kraju, niczem innem, jak tylko kwestyą siermięgi i surduta, kwestyą ciemnoty, nędzy, bezradności, i pożądliwości naszego wiejskiego ludu, a może być tylko rozwiązaną rozszerzeniem oświaty i dobrobytu. Charakter polityczny, który ona od czasu do czasu, mianowicie w chwilach cięższej pomiędzy ludem wiejskim nędzy, przybiera, jest tylko pozornym i tłomaczy się tem jedynie, że w wschodniej połaci naszej dzielnicy lud włościański przypadkowo (?) jest po większej części wschodniego obrządku, i ruskiej w domowem pożyciu używa mowy, podczas gdy majętniejsza, wykształceńsza, i rządząca warstwa społeczna, od której, dlatego że rządzi, lud wiejski ratunku w nędzy swej i niezaradności wymagać może,

---

a przez delikatne woalki przebijały białe skronie, różowe lica i usteczka wiśniowe. Drobne, obciśnięte rękawiczką, dłonie kryły się w mufkach z wyborowych futer, lub poruszały batystową chusteczką, z której rozchodziła się woń wiosenna fijołków i łąk skoszonych.

Pomiędzy paniami byli i panowie a najwięcej adwokatów. Ci ostatni odznaczali się gwiazdką u fraka i uwagą, z jaką przysłuchiwali się sprawie. Nie można tego było o tłumie niewieścim powiedzieć. Piękne i strojne główki poruszały się, zbliżały jedna do drugiej, i raz wraz na tle szeptów można było usłyszeć głośniej rzucone słowo lub śmieszek stłumiony.

Widocznie więc nie zwabiła tutaj pięknych pań wymowa prokuratora, bo zdawały się słuchać go niecierpliwie; kto wie, może nawet cała sztuka krasomówcza jego była dla nich stracona z powodu, że nie rozumiały urzędowego języka, a może gdyby rozumiały, równie by nie słuchały, bo cóż je mogła podobna sprawa zajmować? Widocznie, jeśli przyszły do sali sądowej, to z innego powodu, bo zdawały się oczekiwać na coś ciekawie.

Spojrzenia ich zbiegały się nie na prokuratorze, nie na składzie sądu złożonym z poważnych figur, które słuchały sprawy z całym pozorem uwagi; ale szły ku ławie oskarżonych; nie zatrzymały się jednak na podsądnym, bo cóż ich mógł obchodzić ten prosty człowiek w zbrukanej siermiędze? Celem ich był jego obrońca.

I doprawdy pięknym paniom dziwić się nie było można; przeciwnie należało przyznać, że dawały dowód niepospolitego estetycznego smaku. Na obrońcę tego patrzeć było warto, bo nigdy wczesna sława nie opromieniła szlachetniejszego czoła.

Rysy jego nie posiadały może tej klasycznej poprawności, do której przywiązanem jest konwencyonalne pojęcie piękna; ale twarz jego nosiła w najwyższym stopniu to znamię potęgi, jaką nadaje połączenie wysoko wyrobionej inteligencyi, woli i charakteru.

Na głowie nieco kwadratowej, wypukłej, rozwiniętej zwijał się włos bujny, czarny, nieco kręcony i krótko przystrzyżony tak, iż doskonale były widne zarysy szerokiego czoła o wysokich kątach, które go jeszcze szerszem w skroniach czyniły. Pod gęsto zarosłemi brwiami osadzone były oczy, pełne zmiennych blasków i obdarzone taką potęgą, iż nie każdy wzrok ich był w stanie wytrzymać; usta miały dumne, wyzywające zagięcia.

Z głową niedbale w tył odrzuconą spoglądał on na prokuratora, widocznie skupiając myśl, ażeby odpowiedzieć mu punkt po punkcie; czasem tylko coś na kształt szyderczego uśmiechu zamigotało w jego źrenicach, czasem ruchliwe nozdrza zadrgały lub spotęgował się wyzywający wyraz ust. Wszystko to jednak odbywało się bez współudziału woli; objawy te świadczyły zaledwie widzialną oznaką o wrażeniach jego, jak lekkie drgnienia fali świadczą o wirach i głębiach, na dnie jej leżących, bo adwokat nie zdawał się spostrzegać spojrzeń ku sobie zwróconych i tego całego tłumu, którego był przynętą. Nie spostrzegał, czy też nie dbał o niego. Co najwięcej była tam jedna para siwych łagodnych oczu. Właścicielka ich siedziała obok poważnej kobiety i zamiast wpatrywać się w młodego adwokata, jak to czyniła cała sala — spoglądała czasami tylko, a jakby ukradkiem, jakby wstydliwie, a wówczas jasna jej twarz zabarwiała się lekko, i tajemniczy uśmiech skupionego szczęścia osiadał na ustach.

Widocznie adwokat zajmował jej myśl całą, a ten uśmiech i spokój całej postaci zdawał się świadczyć, że pomiędzy niemi dwojgiem istniał określony stosunek. Teraz jednak on zapomniał o niej, albo też odsunął ją na plan drugi, cały przejęty sprawą, która na jego barkach leżała.

W spokojnej nieszukanej postawie, wpatrzony w swego przeciwnika prokuratora, czynił wrażenie siły w spoczynku, ale można w nim było przeczuć niezwalczonego

łacińskim Boga chwali obrządkiem i polskiego używa języka. Objaw ten jest przy tych danych zupełnie prawidłowym i podobnym zresztą do chorobliwych objawów w ludzkim organizmie. Czujemy nieraz nieznośny ból w głowie, jakkolwiek głowa nasza jest zupełnie zdrową, i choroba właściwie w żołądku wyłącznie swoje ma siedlisko.

Po tem, co w ostatnim liście moim o nędzy naszego wiejskiego ludu i zupełnem jego przez rządzących nam dzisiaj stańczyków zaniedbaniu pisałem, jasnem Wam już podobno będzie, dla czego t. z. „kwestya ruska“ dziś znowu u nas głowę podnosi. Zdawało się przecież, że smok ten apokaliptyczny po szczęśliwem rozwiązaniu spraw serwitutowych, zażegnanym został na wieki, a wybory do sejmu w r. 1876 i do rady państwa w r. 1879 stwierdziły wymownie, że prowodyrowie ruscy utracili byli mir wszystek w sercach i umysłach naszego wiejskiego ludu, który z działalności swych przywódców dostatecznego nabył przekonania o zupełnej ich nieudolności, i aż do zbytku stwierdzonym politycznym nihilizmie. Tymczasem smok ten staje znowu dzisiaj przed nami, zaczerpnąwszy siły w niezadowoleniu ludu przez nas niemal zupełnie opuszczonego, a stanąwszy na gruncie społecznych antagonizmów, wyzywa nas znowu do walki, groźniejszy niż kiedykolwiek, i więcej niż kiedykolwiek zażarty. Przebieg uzupełniających wyborów na posła do sejmu z kuryi mniejszej posiadłości stanisławowskiego wyborczego okręgu, gdzie polskiego kandydata p. Stanisława Brykczyńskiego pokonał kandydat „Rady ruskiej“ adwokat lwowski Jan Dobrzański, — aż do fanatyzmu posunięta energia, którą przy tej sposobności rozwinęła ruska agitacya, — nadewszystko zaś karność, jakiej dowód złożyły rozliczne, a do niedawna w wiecznej sobą waśni żyjące ruskie stronictwa, świadczą wymownie, jak zaciętego, bezwzględnego i wybornie zorganizowanego mamy przed sobą przeciwnika, i jakie nam z tej strony grozi niebezpieczeństwo.

W istocie patrząc na ten ruch niezwykły, panujący dziś w ruskim obozie, na tę niepojętą zgodę, z którą dziś w zwartym szeregu uderzają na nas wszystkie ich stronnictwa, tak te, które uczą o samoistnym bycie, jako też i te, które się poczuwają do przynależności do innego społecznego niepolskiego organizmu, trudno jest nie uznać w tem widocznych znamion, że kwestya ruska w nową dziś wstąpiła fazę. Do niedawna jeszcze stały stronnictwa staroruskie (tak się bowiem mieni stronnictwo poczytujące się za odrośl rosyjskiego narodu), i stronnictwo narodowo-ruskie (takie miano przybrało stronnictwo marzące o Rusi jako samodzielnym społecznym organizmie) wrogo przeciwko sobie, a zacięty ich antagonizm, tudzież lingwistyczne ich i etnograficzne swary znajdowały wyraz w nieustającej polemice ich organów: w staro-ruskiem *Słowie* i narodowo-ruskiem *Dile*. Tak samo miała się rzecz z obydwoma towarzystwami oświaty ludowej, a mianowicie z staro-ruskiem *Obszczewstwom imienia Kaczkowskoho*, i z narodowo-ruską *Proświtą*, oraz licznemi ludowemi peryodycznemi pisemkami, jako to: *Rada ruska*, *Nauka*, *Batkiwszczyna*, *Hromada*, *Wicze* i *Ratom*. Antagonizm ten był tak zawziętym, iż niedawno temu, bo w listopadzie z. r. odmówiła *Rada ruska*, agitacyjny klub ruski pod rządami staro-ruskiego stronnictwa zostający, członkom narodowo-ruskiej *Proświty* wstępu na odbywający się właśnie wiec ludowy ruski, nie uznając w nich synów ruskiej ojczyzny. Antagonizm ten nie istnieje już dzisiaj wcale i wstęp do staro-ruskiego *Domu narodniego*, będącego niejako politycznym reprezentantem i Mekką halickich rusinów, tak samo jak i wstęp do staro-ruskiego stowarzyszenia *Stauropigii*, jest już dziś dla członków narodowo-ruskiego stronnictwa otwartym. Polemika pomiędzy wrogiem sobie do niedawna ruskiem dziennikarstwem znikła, a cała nienawiść, do której zdolni byli nieprzejednani do niedawna wrogowie, znalazła upust swój naturalny w szerzej obecnie już zakrojonej, a z niezwykłą dotąd zawziętością prowadzonej anti-polskiej i anti-unickiej agitacyi. Celują w tej mierze narodowo-ruskie *Dilo*, tudzież wymienione wyżej pisemka ludowe, wszystkie hurtem zaprawne ślepą ku żywiołowi polskiemu nienawiścią, tudzież socyalizmem, pojętym w duchu hajdamackim, w duchu Gonty i Żeleźniaka, przedewszystkiem zaś narodowo-ruska *Batkiwszczyna*, która też z powodu gwałtownych swych artykułów cieszy się szczególniejszymi względami prokuratoryi, i niemal co chwila ulega konfiskacie.

Nie mniejszą w tej agitacyi odgrywają rolę wzmiankowane ruskie towarzystwa ludowej oświaty: *Proświta* i *Obszczestwo imienia Kaczkowskoho*, których działalność na wskróś polityczną nazwać wypada, a które pod pozorem nauczania ludu, krzewią jeno jad narodowej, wyznaniowej i społecznej nienawiści. Towarzystwa te mają w osobie księdza, diaka, i nauczyciela wiejskiego naturalną filię w każdej osadzie, a nakłady ich rozchodzą się, sprzedawane na jarmarkach i praźnikach, w ilości kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy. Wydawnictwa te czerpią treść swoją przeważnie z dziedziny ekonomii społecznej i historyi. Jaka to zaś ekonomia społeczna i jaka historya, tego zdaje mi się mówić nie mam tu potrzeby. Ksiądz, diak i nauczyciel wiejski są zarazem w każdej wsi organami wykonawczymi *Domu narodniego* i *Ruskiej rady*, głównego reżysera ruskich wyborów, i prowadzą za pośrednictwem bractw cerkiewnych agitacyą polityczną wedle odebranego z tych źródeł rozkazu. Łatwo sobie wyobrazić, jaką może być przy tej organizacyi poufna agitacya przez tego rodzaju apostołów prowadzona, skoro już jawna, która w prasie wyraz swój znajduje, pomimo grozy prawa karnego i prasowej ustawy, tak zawziętą dla nas pała nienawiścią, i tak wybitnie przewrotowo swe dążności objawia. Jeżeli tu jeszcze wspomnę o dwóch stowarzyszeniach uczącej się młodzieży, a mianowicie o stowarzyszeniach: *Akademiczewskij kružok* i *Drużnyj łychw'ar*, w któ-

---

szermierza słowa, który czeka i gotuje się do walki.

Uznany jednogłośnie za najzdolniejszego pomiędzy współtowarzyszami, niepospolity publicysta, znany przytem z prelekcyj jako nieporównany mówca, pierwszy raz wystąpił dzisiaj w charakterze obrońcy; dla niego zgromadziła się liczna publiczność. Wiedziano, że postanowił zwyciężyć w tej pierwszej potyczce i obronić chociażby najgorszą sprawę, że rzucił z niedbałym uśmiechem ten zakład kolegom, że był niewyczerpany w argumentach, że posiadał tak wielki dar przekonywania, iż oprzeć mu się było trudno.

Sprawa rzeczywiście była najgorszą. Oskarżony Tomasz Jędras wprawdzie pierwszy raz stawał przed sądem, ale okoliczności obciążające go były takiej wagi, iż nie podobna było wątpić o jego winie.

Zbrodnia spełnioną została na wązkiej drożynie, prowadzącej od bitego gościńca do wsi Maliniec, gdzie mieszkał zarówno zabity Aron Cwibel jak podzdny, w lasku, położonym o niecałą wiorstę od karczmy, w której pierwszy szynkował.

Pałkę skrwawioną, którą ugodzony został, znaleziono podrzuconą w gęstwinie o kilkanaście kroków od miejsca spełnionej zbrodni, a pałkę tę poznała cała wieś, jako należącą do Jędrasa. Alarm pomiędzy rodziną zabitego spowodował koń z wózkiem, który wpadł do otwartej stajni karczemnej, ruszywszy z miejsca wypadku prawdopodobnie w chwili, gdy lejce wypadły z rąk uderzonego Arona, i złoczyńcy wywlekli go z bryczki, ażeby poszukać pieniędzy.

Wprawdzie Jędras był pomiędzy tymi, którzy konie zatrzymali, ale spotkano go przed dwiema godzinami wprzódy, idącego w stronę lasu.

Na trupie nie znaleziono wielkiego zatłuszczonego pugilaresu, w którym nosił na piersiach kwity i pieniądze, ani też w kieszeni drobnych, jakie miał zawsze osobno na małe podróżne wydatki; widocznie więc rabunek był powodem zbrodni.

Jędras nie używał we wsi dobrej opinii; chociaż młody, zdrów i silny, pracy nie lubił, ojcowizny nie miał żadnej, prócz zapadłej w ziemię chałupiny, w której żył czas jakiś ze starą matką, a po jej śmierci sam jeden. Pomimo to żył dostatnio; widywano go często w karczmie, prawie nigdy przy robocie. Matka umiała zamawiać rozmaite choroby, a baby we wsi lękały jej się, szeptały, że jest czarownicą iażeby nie obrazić jej — broń Boże, dawały nieraz to garstkę lnu, to kądziel wełny, to trochę okrasy. Było jej więc wcale nie źle. Dary te jednak mogły starczyć na utrzymanie starej, ale nie na utrzymanie syna, który z wydatkami się nie rachował a po jej śmierci nie zmniejszył ich wcale. To też gadano o nim różnie; ten i ów widział go włóczącego się w podejrzanych godzinach, miano go po cichu za złodzieja, ale koniec końców nigdy się nic wyraźnie nie pokazało.

W tym dopiero wypadku podejrzenia odrazu padły na niego. Aronowa i jej dzieci podniosły krzyk wielki, wskazując go jako sprawcę zbrodni i żądając sprawiedliwości; a że wójt, który właśnie wówczas był w karczmie, dbał o przyjaźń Aronowej, bo ta mu zawsze bez rachunku żadnego nalewała słodkiej wódki i araku, nie mógł zrozpaczonej wdowie odmówić tak małej rzeczy, jak aresztowanie Jędrasa. Bo wszakże, jeśli był niewinny, mógł się usprawiedliwić a przeciwnie, jeśli spełnił zbrodnię, to wójt tym sposobem działał wedle sprawiedliwości a w każdym razie stwierdzał swoją gorliwość. Krzyknął więc na sołtysa i dwóch parobczaków, którzy zbiegli się na wieść o wypadku, kazał go zatrzymać i zrewidować.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Walerya Marrené.

rych od czasu przejazdu Drogomanowa przez nasze miasto zagnieździły się przewrotowe zasady nihilistów, to będziecie mieli już dokładny *ordre de bataille* ruskiej agitacyjnej organizacyi, której roboty z powodów wyżej już przytoczonych z pewnem dziś powodzeniem organizm nasz społeczny nurtują.

Junius.

TAJEMNICE ŻYCIA DUSZY.

VI.

W szczegółach różne tu znowu mogą być hypotezy, stosownie do obranego stanowiska zapatrywania się na istotę duszy. I tak możemy uważać duszę za istotę zupełnie *abstrakcyjną*, za istotę w pewien jakiś sposób *skojarzoną z ciałem*, chociaż różną od niego, lub wreszcie za *pewną tylko kategoryę cech działalności ciała.*

Dusza, jako istota abstrakcyjna, jako taka *in potentia*, może posiadać wszelkie cechy, jakie tylko umysł nasz zdołał uznać za odpowiednie jej i zgodne z jej przypuszczalną naturą. Lecz dusza taka, jako wniosek nasz tylko dowolny, na zasadzie kontrastu ustalony, a uznawany przez nas za konieczny, nic nam ze zjawisk rzeczywistych wytłomaczyć nie zdoła. Fakty zaś dowodzą, że dusza i ciało są we wzajemnym ze sobą związku i że działalność obu jest możebną tylko pod warunkiem spółdziałania. Dusza, niezwiązana z ciałem, niebędąca z niem w jakichś stosunkach — jest tylko mytem, nieprzemawiającym do naszego rozumu. Możemy ją uważać tylko jako najogólniejszą przyczynę zjawisk psychicznych, które występują dopiero w żywym organizmie, kiedy się on na świat pojawi, albo które już odbywały się do chwili śmierci organizmu, poczem ustały.

Dusza, uważana hypotetycznie, jako istota skojarzona z ciałem w pewien jakiś sposób, nie daje się usprawiedliwić niczem więcej nad rozumowanie. Hypoteza ta prowadzi tylko, przy jednostronnem rozumowaniu (a chociaż argument ten jest niemałej wagi, ale może być dobrym tylko do czasu, póki nie zostanie sprawdzony przez fakty, albo dzięki faktom obalony), prowadzi więc nas do ułatwienia budowy sylogizmów, to jest do względnej i czasowej prawdy, którą nawet — dotychczas przynajmniej — prędzej nazwać można wierzeniem, aniżeli prawdą. Nie możemy jej bowiem udowodnić faktami, a co więcej jeszcze, nie możemy przy jej pomocy tłomaczyć faktów, jeżeli się nie zgodzimy na to, że tautologia a tłomaczenie znaczą jedno i to samo. Owszem, pewne fakty przeczą temu twierdzeniu, mianowicie fakty dziedziczności charakteru i wogóle tak zwane wrodzone usposobienia i zdolności. Jeżeli dusza, pozostając indywidualną istotą, istotą przeto niepodzielną i całkowitą, to jest jeżeli jest duszą osobistą, właściwą pewnej jednej ludzkiej istocie, to w jakiż sposób wytłomaczyć, że jakaś jej część, ilościowo określić się niedająca, udziela się dziedzicznie potomkom, a nawet całemu licznemu szeregowi potomków? Udzielając się w pewnej jakiejś (niedającej się określić, wymierzyć lub wyliczyć) części innym ludzkim istotom, dusza dzieli się na części, rozpada się, traci indywidualność, słowem cechy, które w niej, jako konieczne przypuszczamy. Zjawisko to zarazem podrywa teoryę o jej nieskończoności, nieśmiertelności, jako istoty całkowitej, od której nic odjąć, lub do której nic dodać niepodobna. Inne też fakty mogą być tu odniesione, a mianowicie fakty nieomylne i niezawodne rozwoju umysłowego pojedyńczego człowieka. Jeżeli mówimy, że się rozwijają umysłowe zdolności człowieka, znaczy to, że się rozwijają zdolności jego duszy. Rozwój zaś duszy jest rzeczą zagadkową i zupełnie niezrozumiałą, bo niepodobna sobie wytłomaczyć powodów, dla których dusza jako całość pewna — w przypuszczeniu — zawsze jednakowa, sama w sobie posiadająca już treść pewną, gotową i jednaką, miałaby się jeszcze rozwijać. Na czem polegać może ten jej rozwój i jaka może być jego dostateczna, wewnętrzna czy zewnętrzna, przyczyna? Dziwnem jest także i to, że niema dwóch zupełnie do siebie podobnych, pod względem umysłowym, ludzi, pomijając różnice, jakie zachodzą pomiędzy całymi narodami spółczesnymi, pomiędzy spółczesnymi a starożytnymi, i między dwoma poprzednimi a pierwotnymi i spółczesnymi dzikimi narodami. Uderza także fakt postępu i rozwoju umysłowego ludzkości, z zaznaczeniem zarazem faktu, że pomiędzy ludzkiemi rasami zachodzą i w tym razie różnice: każda rasa rozwija się we właściwy jej sposób, zachowując wiernie swe osobliwości. Wszystkie te fakty, o których tylko napomknąłem pobieżnie, są szeregiem argumentów, stawiających nas w położeniu bez wyjścia, gdyż każde z dwóch twierdzeń jest ze sobą w sprzeczności, chociaż oba są prawdziwe. Zawisłość od siebie wzajemna cech psychicznych i cielesnych tak jest uderzająca i stanowcza, że się stała punktem wyjścia antropologii [1]), od której może należy spodziewać się z czasem rozwiązania wielu zagadek, na które zwróciłem uwagę czytelnika.

Dusza, uważana jako kategorya pewnych cech działalności ciała, to jest mniej więcej w sposób fizyologiczny, czyli też materyalistyczny, podobnie nic nie mówi o sobie naszemu rozumowi. Duszy takiej zrozumieć nie możemy przy jak największych usiłowaniach myśli. Jest ona niedorzecznością niczem nieusprawiedliwioną, jest bardziej metafizyczną, aniżeli może wszystkie inne metafizyczne twierdzenia.

Znamyż materyę lepiej od duszy? W jaki sposób należałoby się zapatrywać na tę materyalną duszę [2])? Co do materyi, tyle tylko powiedzieć o niej można, że znamy ją dzięki wrażeniom, jakie przy pomocy naszych zmysłów na nas wywiera; inaczej, że znamy nie samą materyę, lecz nasze wrażenia. Na mocy tych wrażeń, utrzymujemy, że materya jest np. nieczuła i nieświadoma siebie. Co do duszy, wiemy, że posiada świadomość. Ale tu oto spotykamy się z trudnościami [1]). Jeżeli jakikolwiek materyalny pierwiastek albo kombinacya tysiąca materyalnych pierwiastków w pewnej cząstce są jednakowo nieświadome, to niepodobna sobie wyobrazić, w jaki sposób, dzięki tylko dodaniu jednego, dwóch... lub tysiąca materyalnych elementów i utworzeniu w skutek tego bardziej złożonej cząstki, jak tą drogą mogłaby powstać istota, posiadająca świadomość? Nigdy, dwie te rzeczy są wprost z sobą sprzeczne. Kto dowodzi, że strona duchowa jest tylko produktem albo funkcyą protoplazmy, lub jej molekuł, wyraża się słowami, z któremi nie łączy żadnej treści. Przecież nie podobna znaleźć w całości tego, czego niema w jakiejkolwiek z jej części... Niepodobna uniknąć dylematu: albo każda cząstka materyi posiada świadomość, albo świadomość jest zupełnie odmienna od materyi... Niepodobna też przypuścić, ażeby (nieświadoma) materya (protoplazma) mogła kiedykolwiek sama przez się zrobić się świadomą. Tak tedy co do duszy zawartej w materyi, co do owej materyalnej duszy tyle tylko powiedzieć można, że połączenie w całość dwóch tak bardzo sprzecznych pierwiastków jest dla nas bardziej jeszcze tajemniczem, aniżeli nawet same materya i duch — każde z osobna. Nie znając bowiem żadnego ze składników, tem mniej znać możemy powstałą z ich połączenia się całość, a i samą łączność ich jest, według naszego rozumienia, rzeczą najzupełniej nieprawdopodobną, chociaż innym, a nawet bardzo poważnym umysłom, rzecz ta przedstawia się cokolwiek w odmienny sposób. „Związek umysłu z ciałem — pisze Bain [2]) — przyjmujemy jako fakt, podobnie jak przyjmujemy każdy inny związek np. ciepła ze światłem, magnetyzmu z tlenotlennikiem żelaza, ciężkość z materyą bezwładną.“ Jakiż poważny wniosek da się zrobić z poglądu na tę sprawę, wypowiedzianego przez Baina? Oto, że mamy do czynienia z faktem, którego — o czem zapomina na chwilę Bain — zgoła nie rozumiemy. Ale z faktami nie może być walki. Nikt też temu nie przeczy. Co się tycze zaś takich związków, jak np. ciepła ze światłem, jest to podniesienie zjawiska odpowiedniego faktom związku, jaki zachodzi pomiędzy uczuciami a wolą, t. j. zjawisk jednego i tegoż samego rodzaju. Najogólniejszą wartość zestawień Baina ma zestawienie faktów pewnego związku materyi i siły. Coś podobnego może ma miejsce w stosunku do materyi i duszy. Ale w takim razie, dusza byłaby taką samą siłą, jak np. elektryczność lub ciepło. Cóż w podobnym wypadku zrobić ze świadomością? Ze względu na swą cielesną przyrodę człowiek jest materyą, ulega więc wpły-

---

[1]) „Człowiek jest istotą zarazem fizyczną i moralną; każda klasyfikacya umiejętna powinna być oparta na tych dwu elementach, inaczej—pawinna ona unaocznić jednocześnie formy cielesne i zdolności umysłowe.“ Ob. L. von der Kindere — *De la race*, Paryż, Bruksella. 1868 r., str. 103.

[2]) Traktując powyższe pytania tylko pobieżnie, mnóstwo szczegółów pozostawiam bez wzmianki. Wszakże tu zaznaczam, że podobna terminologia już sama przez się wykazuje niedorzeczność hypotezy. Materyalna dusza jest zupełnie tem samem, co zimne-gorąco, co biała-czarność, cięźka-lekkość, niska-wysokość i t. d.; już samo postawienie podobnej hypotezy jest zarazem jej zniesieniem.

---

[1]) O ile mi wiadomo, wypowiedział je pierwszy Alfred Russel Wallace. Ob *Contributions to the Theory of Natural Selection*, 1876, r. X i przypisy Nr 2-gi.

[2]) *Umysł i ciało. Mniemania o ich wzajemnym stosunku*, polski przekład, Warszawa, 1874 r. str. 130.

wom, jakie nań siły przyrody wywierają. Lecz siły te nie tworzą świadomości, tylko sprawiają ruch. Z tego stanowisko rozważany, człowiek jest podobny do wszystkich ciał materyalnych, z jakich się składa przyroda, ale zarazem przez świadomość siebie od całej przyrody jest różny, gdyż przyroda—zdaje się—jest nieświadoma. Zwierzęta posiadają pewne cechy psychiczne, właściwe i człowiekowi, ale w mniejszym stopniu; rośliny znowu stanowią pod tym względem stopień niższy od zwierząt. Niewiemy jednak, czy cechy są zupełnie jednakowe pod względem jakości na każdym z tych trzech stopni, czy też są zgoła różne. Jeżeli są różne, to na czem polega ta różnica? Jeżeli są jednakowe pod względem jakości, to dlaczego zachodzą różnice tylko stopnia, czyli ilościowe? Jeżeli wyższy stopień rozwoju duszy, jaki zajmuje człowiek, jest tylko dalszym ciągiem rozwoju, którego początek odnieść należy do roślin a następnie zwierząt, albo wprost do zwierząt tylko a nie do roślin, nakoniec możeby go szukać należało jeszcze niżej, mianowicie w królestwie mineralnem, wśród świata kryształów, to rozwój ten, ten postęp cóż nam zdoła wytłomaczyć? Na czem mogą polegać konieczne przyczyny tego postępu i dla czego jest konieczny?

Spotykamy się tu znowu z całą seryą pytań, którym umysł nasz sprostać nie zdoła. Wśród chaosu praw i wątpliwości poznajemy, że nie posiadamy zgoła możności, przynajmniej teraz, wytłomaczyć sobie tysiąca zjawisk, które bądź w nas, bądź zewnątrz nas samych zachodzą. A w tej ciemnej nocy tylko blade światełko świadomości nam przyświeca.

Przedsiębiorąc niniejszą pracę, miałem na widoku podniesienie całego rzędu pytań, powiązanych ze sobą logicznie i co ważniejsza, odpowiednich rzędowi zjawisk, powiązanych ze sobą — jak się zdaje — faktycznie. Ostatni argument, jakkolwiek może być osłabiony tem, że oczywistość pewna, dopóki nie zostanie naukowo stwierdzona, jest tylko hypotezą, jednakże czasowo musi być uważany za stanowczy przez każdego, kto przystępuje do badania zjawisk przyrody. Pytania te wykazały nam, że badane zjawiska są nie tylko *juxtapozycyjne*, ale w pewnym *consensus*, który powinien być wyjaśnionym, a który dotychczas był tylko spostrzeżony i nie przestaje być jako fakt jedynie uważany.

Co do wniosków, jakie się nam przy badaniach nawijają, należy być ogłędnym, albowiem łatwo je robić zbyt pospiesznie, pod wpływem uprzedzenia. Grożą tu dwa niebezpieczeństwa, a mianowicie: przypuszczenia przyjemne dla nas pod jakimkolwiek względem skłonni jesteśmy uważać za prawdziwe, oprócz tego oddajemy pierwszeństwo prawdom, bodaj cząstkowym, byle namacalnym, ponieważ „rzeczy obecne i dotykalne" wielki wpływ na umysł nasz wywierają. Największą, najważniejszą rzeczą jest umiejętność kierowania się wśród manowców skrajnych poglądów, jakie nas z tropu zbijają, a wszelkie skrajne teorye— chociaż nie są bez pożytku, jako materyał do rozbioru — są w tym względzie najniebezpieczniejsze. *Feliks Bogacki.*

Badania historyczne.

Mieszko Stary i jego wiek. Napisał Stanisław Smolka. Praca, uwieńczona nagrodą przez Towarzystwo historyczno-literackie w Paryżu. Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa, 1881 roku 8-a, str. XXXI, 544.

Treść dzieła p. Smolki mieści się w sześciu, organicznie powiązanych rozdziałach, pod tytułami: 1) kraj, 2) społeczeństwo, 3) państwo, 4) monarchia zachwiana, 5) próżne zabiegi, 6) przegrana. Trzy pierwsze przedstawiają Polskę dwunastego stulecia pod względem stosunków wewnętrznych i najistotniejszą część książki stanowią; ostatnie rozpowiadają o potomstwie Krzywoustego aż do r. 1207 t. j. do ustąpienia Władysława Laskonogiego z dzielnicy krakowskiej.

Fizyognomia *kraju* wyszła dość blado i najsłabszą stronę dzieła stanowi. Objaśnić to trzeba najprzód szczupłością odnośnych źródeł, powtóre nieznacznością opisowego w autorze talentu. Język rozwlekły a ciężki; sadzenie się na poetyczność przy braku twórczej fantazyi; kołysanie faktów na falach retorycznej wody; moc słów pustych, mających luki materyału załatać; — wszystko to złożyło całość i mglistą i ucząca niewiele. Za to rozdział o *społeczeństwie* odznacza się bogactwem treści, a nawet w sprawie własności prywatnej i nowością poglądu. Według teoryi Bobrzyńskiego, w pierwotnym ustroju społecznym Polski ludność — z wyjątkiem duchowieństwa i szczupłej liczby rodzin szlacheckich — nie miała własności gruntowej żadnej: całe terytoryum należało do króla, który mógł wieśniaka w każdej chwili z posiadłości rugować i z miejsca na miejsce przerzucać dowolnie. Zdaniem p. Smolki było inaczej. Istniała w pierwotnym społecznym Polski ustroju klasa drobnych dziedziców, która dopiero w dobie Krzywoustego przez ubóstwo do upadku się chyli i na cudzych— kościelnych lub książęcych — jako *homines liberi* i *hospites* osiada gruntach. Twierdzenie swoje opiera autor najprzód na analogii ze stosunkami zachodu; powtóre na wyrażeniach kroniki Galla, którego *ignobilis* i *gregarius miles* ma właśnie oznaczać drobnego dziedzica w odróżnieniu od szlachcica i niewolnika; po trzecie na znanym pomniku p. t. *Liber fundationis claustri Heinrichow*, w którym występują nie *milites* i nie *nobiles*, ale także nie chłopi, bo mają własność ziemską, choć szczupłą. P. Smolka w osobnym dodatku (str. 413 — 428) polemizuje w tej kwestyi z Bobrzyńskim, lecz, zdaniem naszem, hipotetyzuje tak samo, jak i głośny przeciwnik. Nie wskazał pozytywnego faktu, udowodniającego istnienie, znikanie i przeobrażanie się drobnych dziedziców w grupę, znaną w pomnikach XIII w. pod nazwą *homines liberi* i *hospites*; przeważnie na gołych wyrażeniach Galla teoryę swoją opiera i dla tego nie twardszy od Bobrzyńskiego ma grunt pod sobą. Jedynie wsteczna metoda badania, zastosowana przez Wojciechowskiego, może kwestyę sporną z czasem rostrzygnąć i który z uczonych ma racyę — okazać dowodnie.

Do charakterystyki społeczeństwa wyzyskuje autor przeważnie dyplomaty z XIII stulecia; a mało znajdując znamion, wyłącznie wiekowi dwunastemu właściwych, powtarza spostrzeżenia Hubego, który przy wykładzie prawa polskiego materyałów używał tych samych. Niektóre z kwestyi, niewyjaśnionych przez naukę, p. Smolka pominął lub wytłomaczył je mylnie. Opuścił grupy ludzi niewolnych, znanych pod nazwą spudowników i divotików; nieuwzględniwszy pracowitych rozprawek: F. Zielińskiego (*Bibl. warsz. z r. 1872*) i Burzyńskiego (*Rozprawy i sprawozdania wydz. hist. filoz. VIII*), naroczników za niewyjaśnioną poczytuje zagadkę (str. 59), a o dziesiętnikach nic stanowczego powiedzieć nie umie. Komorników definiuje wątpliwie i zbyt obszernie. Powiada, że „prawdopodobnie odprawiali kolejno służbę pokojową na zamkach i do posług przypadkowych wszelkiego rodzaju byli przeznaczeni" (str. 59); gdy „kasztelan mógł przed swój sąd pozwać, czy na inne posyłki lub nawet do wybierania danin z chłopskich osad potrzebował ludzi, zawsze dość było na grodzie komorników, gotowych na jego rozkazy" (str. 121). Ostatniego twierdzenia nie wzmacnia autor cytatą; źródła zaś, przytoczone dla poparcia określenia pierwszego, konstatują samo jedynie istnienie komorników, a nie upoważniają do wyrzeczonych przez p. Smolkę wyjaśnień. Trafniej Lelewel nazwę komorników (istniejących zresztą i dzisiaj) wywodzi od komór t. j. izb, jakie ubodzy kmiecie dzierżawili w chałupach wiosek książęcych i pańskich (*Uwagi nad dziejami Polski*, § 10).

Rozdział o *państwie*, podobnie jak poprzedni, imponuje zasobem treści, chociaż trafnością poglądów celuje nie zawsze. Według p. Smolki, w dobie Krzywoustego „na silnych podwalinach olbrzymiej potęgi materyalnej księcia wznosił się dumnie gmach jego bezwzględnej, niczem nieograniczonej wszechwładzy..." (str. 172); magnaci „nie mieli... żadnego udziału w rządach" (str. 179); uchwały rady przybocznej „nie krępowały w niczem woli książęcej, która sama stanowiła o wszystkiem" (str. 164). Łatwo z autorem się zgodzić, że „cała potęga magnatów polegała tylko na ich społecznem stanowisku;" że „niemieli jeszcze żadnych przywilejów, któreby ich od reszty narodu wyróżniały, żadnych praw wyłącznych" (str. 179); — trudniej jednak podzielić pogląd, że na władzę książęcą wpływu nie wywierali żadnego. *Prawnie* Krzywousty mógł się cieszyć „bezwzględną, niczem nieograniczoną wszechwładzą;" *faktycznie* musiał ulegać wpływowi możnych, którzy od wypadku Bolesława Śmiałego głowy nosili hardo. P. Smolka zbyt słabo, zdaniem naszem, zaakcentował doniosłość upadku Bolesława Śmiałego w dziejach magnatów i nie dość wyraźnie zdefiniował charakter ruchu, który dzielnego króla przyprawił o zgubę. Według autora „zamęt i nieład wewnętrzy był nieuniknionem następstwem awanturniczych wypraw Śmiałego bez troski o rządy w kraju...; nic co innego sprowadziło zatarg jego z biskupem, tylko istotnie, tak jak to głosi tradycya, dbałość św. Stanisława o dobro swej owczarni, obrona ludności, wydanej na pastwę rozpasanego gniewu królewskiego" (str. 175). Rzecz dziwna, p. Smolka dobrze rozumie knowania magnatów przeciwko synom Krzywoustego i trafnie ocenia takiego np. biskupa Getkę, a w działalności Stanisława widzi jedynie dbałość o dobro owczarni i za przywódzcę możnowładczego spisku uznać go nie chce. Czy — wiążąc dzieje Bolesława Śmiałego z losami synów Krzywoustego — można, zamiast ambitnych dążności magnatów, za źródło ruchu przeciwko Śmiałemu poczytywać okrucieństwo królewskie i nieład? możnaż twierdzić racyonalnie, że dla tego tylko „żelazna potęga wszechwładzy monarszej nie mogła Bolesława ochronić od katastrofy," bo „czcionym i wielbionym był biskup dla swej świątobliwości" (str. 175)? godziż się zresztą stawiać domyślnie na czele opozycyi przeciwko królowi Sieciecha, skoro wyraźnym przywódzcą był biskup Stanisław?

Określiwszy władzę książęcą, opowiada autor o kasztelaniach, porzem ciekawsze i bogatsze niż Roeppell i Hube przedstawia uwagi o opolach, które były według p. Smolki poddziałem kasztelanij, chociaż dawnością swoją istnienie pierwszych wyprzedziły o wiele. Ciężarom publicznym, oprócz porządnego wykładu w tekście, poświęca autor obszerny dodatek (str. 429 —

447); o reformach gregoryańskich w Polsce rozszerza się bardzo i przedstawieniem testamentu Krzywoustego ustęp ten kończy. Razi w nim bezwzględność orzeczenia, że „za czasów Mieszka I nie znała Polska krajowej monety“ (str. 153) i że Kazimierz Odnowiciel *córkę* w. kniazia Jarosława pojął za żonę (str. 157).

W trzech ostatnich rozdziałach prezentuje p. Smolka dzieje czterech synów Krzywoustego i dążności Laskonogiego do czasu ugruntowania się Leszka Białego na dzielnicy krakowskiej. Opowieść swoją opiera na źródłach znanych i pod względem faktycznym odkryć nie czyni; jednakże ściśle konsekwentnem przeprowadzeniem walki monarchizmu z możnowładczą potęgą nadaje swej pracy urok nowości, rzetelny budzącej interes. Nie jest p. Smolka doktrynerem, zohydzającym Władysława II, jak Bartoszewicz, lub idealizującym, jak Hoffman; głęboko a z kunsztem kreśli fiskalną działalność Mieszka i stosunek Laskonogiego do kleru; ostro akcentuje wysiłki tych książąt, marzących o wskrzeszeniu samowładnej monarchii Chrobrego i przyczyny chybionych zabiegów w odpowiedniem rysuje świetle. Mylnie tylko żonę najmłodszego z synów Krzywoustego mieni autor Grzymisławą (str. 279); zapomniał prócz tego przedstawić zachowania się Władysławowiczów po śmierci Henryka sandomierskiego, gdy osieroconą po nim dzielnicę objął Kazimierz.

Odmalował p. Smolka dwunaste stulecie o ile pozwoliła zasobność odnośnych źródeł. Można się z autorem w niejednym poglądzie nie zgodzić; można również tę i ową wskazać usterkę; jednakże przeważających zalet, które pracę jego cechują, nikt zaprzeczyć nie zdoła. Połączył autor gruntowną znajomość źródeł z odpowiednią metodą badania; konsekwencyę w przeprowadzeniu zasadniczych dążności wieku i systematyczność wykładu z jasnością. Dzieło p. Smolki, chociaż badawcze, lekturę stanowi łatwą; pójść też powinno do rąk licznych czytelników, dla których nieobojętną jest przeszłość i wiedza.

Wł. Smoleński.

BADANIA MATEMATYCZNO-HISTORYCZNE.

Historya nauk matematycznych. — Ważność i niezbędność tej nauki. — Matematyka w Polsce. — Stefan Rosinus. — Bibliografia Żebrawskiego. — Cantora *Odczyty o matematyce.* — Papyrus Rhind — podręcznik matematyki z przed 4000 lat.

Z historyj pojedyńczych umiejętności najmniej może pociągającą dla większości ludzi wykształconych jest historya nauk matematycznych. W dziejach każdej innej umiejętności treść przedmiotów badanych daje się łatwiej odczuć lub odtworzyć, przedstawia więcej żywotności i zajęcia. Nawet historya takiej oderwanej gałęzi wiedzy, jaką jest filozofia, bardziej ku sobie pociąga z powodu pytań o świecie, duszy i innych, które zawsze zajmowały i zajmować będą umysły ludzi. Historya nauk matematycznych nie cieszy się takiem uznaniem i jej przedmioty, nader abstrakcyjne, dla większości ludzi wydają się suchymi i nieprzystępnymi, a nawet zdaniem wielu osób wykształconych, nauki matematyczne nie doskonalą się, prawdy ich od wieków mają być niezmiennemi, a treść tych nauk, do rozwoju niezdolna, nie może być celem dociekań historycznych.

A jednak sąd taki jest najzupełniej fałszywy. Nie tylko pojęcia nauk matematycznych przedstawiają treść bogatą i zajmującą, ale i sam ich rozwój, ogólnym prawom rozwoju podległy, przedstawia ciekawe dzieje powolnych zmian i ulepszeń, charakterystyczne momenty twórczości, epoki postępu i cofania się. Badanie tego rozwoju zajmującem być winno nie tylko dla specyalisty matematyka, nie tylko dla historyka i filozofa, ale i dla każdego wykształconego człowieka, pragnącego zrozumieć, w jaki sposób ludzkość doszła do dzisiejszego stanu cywilizacyi. Już na najniższych jej stopniach ludzkość posługuje się miarą i liczbą, powoli i stopniowo od najbardziej konkretnych działań rachunkowych wznosiła się do takiej potęgi abstrakcyi, na jakiej stanęli: Archimedes, Newton, Lagrange i inni. Kto nie zna tych procesów rozwoju myśli ludzkiej, ten zaprawdę nie zrozumie dziejów umysłowego postępu! Wszak najświetniejsze zdobycze umysłu osiągnięto na tej drodze.

Historya nauk matematycznych, uprawiana z zamiłowaniem we Francyi, Niemczech i Anglii, w ostatnich czasach ma wielu sumiennych i uczonych pracowników. Coraz większa specyalizacya wiedzy, coraz bardziej z dniem każdym rosnący i niepodobny do objęcia materyał, odkrywanie rozmaitych rękopisów i innych pomników wiedzy matematycznej, rzucających nowe światło na dzieje rozwoju matematyki — wszystko to czyni historyę nauk matematycznych niezbędną. W rzeczy samej zajęła ona już dziś stanowisko bardzo ważne i położyła zasługi dla historyi oświaty wogóle.

U nas, niestety, na polu tem, o ile wiemy, pracowników niema. Nawet historya matematyki we własnym kraju jest nam prawie nieznaną. Nie możemy wprawdzie popisać się przed światem zbyt wielu samodzielnymi w tej gałęzi wiedzy myślicielami, nie sądzę jednak, abyśmy w wieku piętnastym i szesnastym na polu nauk matematycznych stali niżej od innych narodów. Nie mówiąc już o Koperniku, którym zajmowano się u nas względnie wiele, ale jeszcze niedostatecznie, o Broscyuszu, którym zajmowano się bardzo mało, znaleźlibyśmy bezwątpienia wielu innych mężów, których zasługi na polu rozpowszechnienia wiedzy matematycznej w kraju zasługiwałyby na zaznaczenie. Wszak w wieku piętnastym, do nowoutworzonego uniwersytetu w Wiedniu powołano na katedrę matematyki Stefana Rosinusa z Krakowa (por. Gerhard, *Geschichte der Mathematik in Deutschland*), wszak w wieku tym i następnym wydano sporo książek matematycznych [1]), jak o tem przekonywa *Bibliografia* Żebrawskiego, dzieło sumienne i ważne dla tych, coby chcieli stawiać pierwsze kroki w badaniach matematyczno-historycznych. Żebrawskiemu należy się najwyższe uznanie za tę pracę, w której pokazał, co się z działu nauk ścisłych mieści na półkach bibliotek. Ale bibliografia historyą nie jest. Historya szuka nici wiążącej fakty, szuka związku pojedyńczych usiłowań, ocenia je ze stanowiska ówczesnych metod i środków. Do takiej historyi — pole u nas nie przygotowane; potrzeba przedewszystkiem stworzyć monografie historyczne. Na półkach bibliotek, szczególniej Jagiellońskiej, mieści się, jak rzekliśmy, bogaty, niespożytkowany dotąd materyał. A czas po temu, by rozpocząć uprawę tego pola, czas poznać dokładnie, cośmy zdziałali, chociażbyśmy przekonać się mieli, żeśmy zdziałali bardzo a bardzo niewiele.

Ale zanim zdobędziemy się na dzieje matematyki w Polsce, korzystajmy przynajmniej z tego, do czego uczeni innych krajów doszli w badaniach swych historycznych. Tym razem cofniemy się myślą w przeszłość bardzo odległą, bo na 17 wieków przed Chrystusem. W czasie tym istniały już w starożytnym Egipcie podręczniki matematyczne, wykazujące stosunkowo wysoką wiedzę. Dowodem tego niedawno odkryty przez jednego z angielskich egiptologów i przechowany obecnie w British Museum papyrus, którego matematyczną treść odcyfrowali dwaj badacze: A. Eisenlohr i M. Cantor. Pierwszy z nich wydał pracę p. t. „Podręcznik matematyczny starożytnych egipcyan (*Papyrus Rhind* muzeum brytańskiego), przełożony i objaśniony przez Aug. Eisenlohra, Lipsk 1877. Ciekawe dane o tym zabytku podamy według opracowania drugiego badacza M. Cantora, pomieszczonego w niedawno wydanem, świetnem dziele tegoż: *Vorlesungen ueber Geschichte der Mathematik, I Band*, odznaczającym się głęboką erudycyą, samodzielnymi poglądami, znakomitem opracowaniem i wdziękiem wykładu. Przed umysłem czytelnika roztacza w dziele tem autor zajmujące obrazy rozwoju pojęć i nauk matematycznych u egipcyan, babilończyków, greków, rzymian i arabów; kreśli zasługi największych myślicieli świata starożytnego: Pytagorasa i Platona, Arystotelesa i Euklidesa, Archimedesa i Apolloniusa z Pergy, Herona aleksandryjskiego i Plotomeusza, Diofantesa i innych, których prace pozostawiły niezatarte ślady w nauce. Wykład Cantora dotyka i innych stron umysłowego życia narodów, których wiedzę matematyczną przedstawia, rozpatruje właściwości ich fantazyi i wierzeń; słowem jest bardzo ciekawym przyczynkiem do historyi cywilizacyi ludów starożytnych.

Otóż właśnie na wstępie tego dzieła, o którem kiedyś może obszerniejszą wzmiankę podamy, zajmuje się autor najstarszym, rzec można, zabytkiem najstarożytniejszej z literatur. Takim bezwątpienia jest *Papyrus Rhind.* Początkowe wyrazy jego są następujące: „Przepis dla dojścia wszystkich rzeczy cennych..., wszystkich tajemnic, zawartych w przedmiotach. Książka ta napisaną została w roku 33 miesiąca mesori, dniu... za króla górnego i dolnego Egiptu Ra-a-us, dającego życie, według dawnych pism wygotowanych za króla [Ra-en-m] at — przez pisarza Ahmesa.“

Po tych wyrazach autor Ahmes mówi o „przepisie uzupełnienia,“ o „przepisie do obliczania spichrza okrągłego,“ o „przepisie obrachowywania pól i t. d. Przepisów tych jednak wistocie nie daje, tylko przykłady na każdy gatunek zadań. Autor używa często wyrażeń: powiedziano ci, tak mówi pisarz, rób, rób tak..., tam gdzie autor czasów dzisiejszych powiedziałby wprost: *zadanie* i *rozwiązanie.*

W zadaniach Ahmesa spotykamy liczby całkowite i ułamkowe. Liczby całkowite są pisane powiększszej części pismem hieratycznem, idącem od ręki prawej ku lewej. Na wyrażenie liczb pierwszego rzędu: jeden, dwa, trzy... aż do dziewięciu liczb 2-go rzędu: jedna. dwie, trzy dziesiątki aż do dziewięciu dziesiątek, trzeciego rzędu: jeden, dwa, trzy... aż do dziesięciu tysięcy są oddzielne znaki; inne liczby oznaczają się przez przystawienie znaków tych liczb, z których się składają. Działania z liczbami całkowitemi odbywa autor nie z równą łatwością: dodawać umie dobrze, odejmować słabo, mnożyć tylko przy pomocy dróg bardzo złożonych, dzielenie — z trudnością mu się tylko, przy pomocy prób, udaje.

Ułamki występują przeważnie takie, których licznikami są jedności, a więc tak nazwane ułamki zasadnicze. Ułamek taki oznacza się za pomocą liczby będącej jego mianownikiem, po nad którą stawia się kropka, nazywająca się *ro.* Istnieją oddzielne hieroglify dla ułamków $^1/_2$ i $^2/_3$, i znaki hieratyczne dla $^1/_3$ i $^1/_4$. Wszystkie inne ułamki znaków i nazw nie mają, i stąd powstaje zadanie wyrażania innych ułamków za pomocą ułamków zasadniczych. Istotnie na pierwszych kartach papyrusu

[1]) Zaznaczyć tu winniśmy, że p. W. Trybulski w swym godnym uwagi artykule „Arytmetyka“ wydrukowanym w *Encyklopedyi wychowawczej* zebrał ciekawe dane, tyczące się książek arytmetycznych polskich.

znajdują się tablice, mające na celu ułatwienie tego rachunku. Czy tablice te powstały w ten sposób, że autor, będąc w posiadaniu ogólnej metody, stosował ją do tylu a tylu szczególnych przypadków, czy też są one zbiorem pojedyńczych rachunków, niejako pojedyńczych prób i doświadczeń — rzecz ta rozstrzygnąć się nie daje.

W niektórych zadaniach występują działania analogiczne z naszem sprowadzaniem ułamków do wspólnego mianownika, przytem mianownikami bywają i takie liczby, które nie są wielokrotnościami mianowników danych.

Następujące potem badania wchodzą w zakres równań stopnia pierwszego dzisiejszej algebry; niewiadoma nazywa się tu *hau*. Są tu znaki matematyczne dla oznaczenia dodawania, odejmowania, różnicy i równości.

Dalej idą zadania, któreby dziś zaliczyć można do teoryi postępów arytmetycznych i geometrycznych; z jednego z nich wyciągnąć by nawet można wniosek, że autor umie sumować szeregi geometryczne przynajmniej szczególne.

Papyrus Ahmesa — jest nietylko nieocenioną skarbnicą, z której poznajemy wiedzę arytmetyczną i algebraiczną egipcyan, ale rzuca prócz tego bardzo ważne światło na układ miar i wag, używanych w Egipcie i na wiedzę geometryczną jego mieszkańców. Z wielu zadań można wyciągnąć niewątpliwe wnioski, tyczące się miar zasadniczych, inne znów zadania wykazują, że egipcyanie byli w posiadaniu sposobów obliczania powierzchni i objętości. Sposoby te są co prawda często fałszywe; tak np. powierzchnię trójkąta równoramiennego otrzymuje Akmes, mnożąc podstawę przez połowę jednego z równych ramion, i powierzchnię trapezu równoramiennego otrzymuje, mnożąc sumę dwóch podstaw przez jedno z ramion równych, ale i takie sposoby dawać mogły często przybliżenie dość znaczne. Uderza tu nadzwyczaj przybliżony sposób obliczania powierzchni koła. W jednem z zadań Ahmes daje przepis otrzymania kwadratu, mającego powierzchnię równą powierzchni danego koła, polegający na wzięciu za bok kwadratu średnicy koła, zmniejszonej o jedną dziewiątą jej długości. Z przepisu tego wyprowadzona wartość na stosunek okręgu koła do średnicy, to jest na liczbę π, wypada równą $(^{16}/_{9})^2 = 3{,}16...$, a więc dokładniejszą niż u wszystkich innych starożytnych narodów.

Dalej następują zadania na obliczanie objętości ciał, lecz z podanych rachunków trudno dojść kształtu tych ciał. Eisenlohr przypuszcza, że formami używanemi były formy stożka ściętego i piramidy ściętej.

Ale najbardziej godne uwagi są zadania geometryczne, w których dopatrzeć się można śladów nauki o podobieństwie, początków trygonometryi. W zadaniach tych mówi się o piramidach, lecz nie o objętości tych ciał, a o pewnym stosunku ich wymiarów. Stosunek ten nazywa się *seqt*, a porównywanemi długościami są *uchatebt* (prawdopodobnie przekątnia kwadratu podstawy) i *pyremus* (krawędź boczna), skąd poszła grecka nazwa πυραμίς. Seqt pozostawał w związku z kątem między ścianą boczną piramidy i jej podstawą, a wiadomo, że we wszystkich istniejących piramidach te kąty są jednakowe i prawie równe 52°; odpowiadałby niejako dzisiejszej dostawie. W innem znowu zadaniu seqt odpowiada dzisiejszej stycznej trygonometrycznej.

Oto mniej więcej treść ciekawego zabytku zamierzchłej przeszłości, którego odkrycie rzuciło zupełnie nowe światło na stan wiedzy przed 4000 lat, której niepodobna odmówić względnie wysokiego rozwinięcia. Jeżeli zwrócimy jeszcze uwagę na to, że podręcznik Ahmesa był tylko podręcznikiem praktycznym, że miał być napisanym podług innych dzieł, to dojdziemy wraz z Cantorem do wniosku, że prócz niego mogły istnieć inne podręczniki, więcej teoretyczne, w których mieściły się i dowody przepisów podręcznika Akmesa. Jakie mogły być owe dowody, trudno odgadnąć, przypuszczalnie były to wnioski z więcej lub mniej ogólnych indukcyj. Podręcznik Ahmesa, powtarzamy, był podręcznikiem popularnym dla użytku powszechnego, gdy tymczasem czysta wiedza przez kapłanów uprawiana ukrywała się prawdopodobnie w innych dokumentach piśmiennych. Czy takie dokumenty dadzą się odszukać, przyszłość rozstrzygnie.

S. Dickstein.

POGADANKI NAUKOWE.

O gramatyce porównawczej języków indoeuropejskich [1].

I.

W uniwersytetach rosyjskich (według ustawy z r. 1863), jako też w wielu zagranicznych wykładaną jest między innemi *gramatyka porównawcza języków indoeuropejskich*. Oprócz tego można niekiedy spotykać ten termin tak w książkach, jako też w czasopismach popularno-naukowych. Tymczasem zapewne tylko niewielu z ukształconych czytelników ma zupełnie jasne pojęcie o tem, co należy rozumieć pod tą nazwą, pomimo że przedmiot innych nauk, wykładanych w uniwersytetach, zrozumiałym jest dla większości ludzi wykształconych. Dla tego sądzę, nie będzie od rzeczy, jeżeli postaram się tu w kilku słowach odpowiedzieć wedle możności na pytanie: *co to takiego „gramatyka porównawcza języków indoeuropejskich?“*

W nazwie tej łączą się dwa pojęcia: „gramatyka porównawcza“ i „języki indoeuropejskie.“ Tym sposobem nasze ogólne pytanie rozkłada się na dwa szczegółowe: 1) co to takiego *gramatyka porównawcza?* i 2) *języki indoeuropejskie?*

Postaram się odpowiedzieć przedewszystkiem na pierwsze pytanie.

Wszystkim ludziom ukształconym wiadomo, że istnieje nauka, zwana botaniką, i że przedmiot jej zajęć stanowi badanie naukowe roślin; — następnie, że istnieje zoologia, zajmująca się badaniem naukowem zwierząt; że nauka, zwana astronomią, zajmuje się badaniem naukowem ciał niebieskich, i t. d. Wszędzie tu widzimy z jednej strony pewną sumę zjawisk jednorodnych, z drugiej zaś badawczy, naukowy stosunek do nich umysłu ludzkiego.

Jak rośliny, zwierzęta, ciała niebieskie i t. d., tak samo i języki przedstawiają zbiór zjawisk jednorodnych, i skutkiem tego mogą być przedmiotem badania naukowego. Nauka, opierająca się na idealnym i, prawdę mówiąc, nigdy niedającem się urzeczywistnić dążeniu umysłu ludzkiego do poznania wszystkich szczegółów, podchodzących pod ogólną kategoryę mowy ludzkiej czyli języka, nazywa się *badaniem języków*, *umiejętnością języka*, *językoznawstwem* i t. d., albo też *lingwistyką* (od łacińskiego *lingua*, język), *glottyką*, *glottollogią* (od greckiego γλῶσσα lub γλῶττα, język i λόγος, słowo, mowa, — a więc *glottologia* znaczy „mowa o języku,“ „nauka (umiejętność) języka,“ jak *zoologia* — „mowa o zwierzętach,“ „nauka (umiejętność) zwierząt“), i t. d.

Co się tyczy nazwy *lingwistyka*, jako nauka języka, i *lingwista*, w znaczeniu „badacza języka,“ należy zauważyć, że nazwy te bywają używane także do oznaczenia praktycznej znajomości wielu języków. Z tego stanowiska *lingwistą* jest człowiek, znający praktycznie wiele języków, t. j. władający nimi bez wszelkiej trudności. Takim znakomitym lingwistą, w tem właśnie znaczeniu, był kardynał Mezzofanti (ur. 1774 czy też, według innych źródeł, 1776—1849), który pod koniec swego życia mówił poprawnie, według podania, 58-u językami. Naturalnie nikt nie ma prawa narzucać innym swój własny pogląd na rzeczy, a tem bardziej nikt nie ma prawa wymagać od ludzi, używających wyrazu „lingwista“ w dopiero co wzmiankowanem znaczeniu, ażeby dla dogodzenia nam odstąpili od swego zwyczaju. Jednakowoż nie można mięszać pojęcia „lingwisty,“ jako praktycznego znawcy i „wykonawcy“ języków, z pojęciem „lingwisty,“ jako ich badacza naukowego. Jeżeli człowiek, ulegający jak najrozmaitszym i najbardziej interesującym chorobom, nie jest wcale badaczem tych chorób czyli *uczonym* medykiem; jeżeli znowu człowiek, spełniający dokładnie wszystkie funkcye fizyologiczne, nie jest wcale badaczem tych funkcyj czyli fizyologiem; jeżeli dobry wykonawca praw pisanych nie jest wcale ich badaczem, jeżeli genialnego poetę nie można w żaden sposób utożsamiać z psychologiem, badającym proces twórczości poetycznej, — to również człowieka, wykonywającego dokładnie proces językowy różnymi sposobami, nie można uważać za badacza naukowego języka, czy też języków. A nawet często się zdarza, że ludzie, odznaczający się niepospolitemi zdolnościami do praktycznego przyswajania sobie języków obcych, są zupełnie niezdolnymi do świadomego i naukowego traktowania zjawisk choćby tylko języka ojczystego; nie mogliby więc nigdy wyrobić się na lingwistów w *teoretycznem* znaczeniu tego wyrazu. Z tego jednakże nie wynika, że badacz teoretyczny jakiegokolwiek języka albo też grupy języków powinien lekceważyć sobie ich znajomość praktyczną; przeciwnie, im obszerniejsze są pod tym względem wiadomości faktyczne, tem łatwiej i z tem większą korzyścią można pracować w naszej nauce. Przecież tak samo dla botanika i dla zoologa bardzo jest pożądaną jak najszczegółowsza znajomość, jeżeli tylko można, wszystkich odmian istot, przez nich badanych. A chociaż natura języka, jak również skomplikowanie i bogactwo napotykanych w nim faktów—uniemożliwiają badaczowi języka taką znajomość swojego przedmiotu, jaka jest dostępną dla botanika lub tez zoologa, — to jednak konieczną jest rzeczą dążyć do gruntownego przyswojenia sobie jak można największej liczby języków. W każdym razie jednak nawet praktyczne badanie przez lingwistów teoretycznych różni się od *czysto praktycznego* ich studyowania przez kardynała Mezzofanti i indywidua jemu podobne, choćby tem tylko, że kiedy pierwsi studyują fakta języka zupełnie świadomie, ostateczny cel drugich polega na całkiem nieświadomem władaniu tym lub owym językiem z pomocą wrodzonych im zdolności czysto naśladowczych.

Z drugiej strony, jeżeli ogrodnik, obznajmiony gruntownie z jak największą liczbą roślin, albo też właściciel i znawca praktyczny jak najbogatszej menażeryi i akwaryum nie mogą sobie jeszcze rościć pretensyi do nazwy botanika lub zoologa, to również niesłusznie byłoby nazywać lingwistą tego, kto ogranicza się mniej więcej bierną, choćby nawet jak najdokładniejszą, znajomością samych tylko szczegółów językowych, albo też samym tylko opisem pojedyńczych części języka, bez żadnego innego celu, jak tylko właśnie ta bierna znajomość i opis szczegółów. Są wprawdzie uczeni, uważający siebie samych i nawet uważani za badaczy języka, widząc jednak

[1]) Pragnęlibyśmy, ażeby popularność tego wykładu nie zmyliła czytelników co do jego treści. Zawiera on bowiem w prostej formie bardzo poważne uwagi i wywody naukowe, które rozjaśniają wiele pojęć błędnych i wprowadzają wiele nowych (*Red.*).

całą mądrość i ostateczny cel językoznawstwa, pod względem działalności piśmienniczej, w układaniu gramatyk opisowych, słowników i w wydawaniu zabytków różnych języków, co się zaś tyczy znajomości osobistej i działalności nauczycielskiej, — w zaznajamianiu siebie i drugich tylko z tem, co spotyka się w gramatykach opisowych, w słownikach i w wydaniach zabytków; — przy czem, według zdania tych panów, powinnoby być jak najsurowiej zakazanem robienie jakichkolwiekbądź większych uogólnień i wypowiadanie jakichkolwiekbądź hipotez. Do podobnych prześladowców myśli naukowej można zwykle w zupełności stosować łacińskie przysłowie: *Ars non habet osorem, nisi ignorantem* (Sztukę, albo naukę, nienawidzą tylko ludzie, z nią nieobznajmieni). Ograniczając się przy badaniu zjawisk językowych wyłącznie tylko do strony opisowej, panowie ci nie robią tego wcale przez jakąś skromność, ale przeciwnie, chełpią się swoją wstrzemięźliwością i „pozytywnością.“ Mnie się zaś zdaje, że nie mają się z czego chełpić. Widzieć ostateczny cel pewnej nauki w samem tylko zbieraniu materyałów i odmawiać sobie wszelkich uogólnień i hipotez — równa się zupełnemu niepojmowaniu, co to takiego nauka wogóle, a dana nauka w szczególności. Tak więc językoznawstwo, jeśli chce być zaliczone do nauk, powinno dążyć do jak najobszerniejszych uogólnień, zachowując przytem naturalnie wszelkie warunki dokładności i oględności metody indukcyjnej.

Wielu uważa *porównanie* za charakterystyczną cechę naszej nauki, i dla tego mówią oni bardzo chętnie o „językoznawstwie *porównawczem*“ (vergleichende Sprachwissenschaft), o „*porównawczem* badaniu języka“ (vergleichende Sprachforschung), albo też o „filologii *porównawczej*“ (philologie comparée, comparative philology), albo też nareszcie o „gramatyce *porównawczej*“ (vergleichende Grammatik, grammaire comparée) i t. d.

Co się tyczy pierwszej nazwy, „językoznawstwo *porównawcze*“ lub t. p., to przymiotnik „porównawcze“ jest tu zupełnie zbytecznym. Albowiem nietylko każdy wniosek naukowy, ale nawet najprostszy sąd jest rezultatem porównania. Tak np. sąd „śnieg jest biały“ przedstawia rezultat porównania koloru śniegu z kolorem innych przedmiotów. Wymawiając 1, 2, 3..., przez to samo porównywamy wielkości liczebne; a ponieważ wszystkie wielkości matematyczne są rezultatem pewnego porównania, i ponieważ całe myślenie matematyczne nie jest niczem innem, jak pewnego rodzaju porównywaniem, więc przede wszystkiem należałoby mówić nie „matematyka,“ ale „matematyka *porównawcza*.“ Rolę zaś, którą „porównanie“ gra w językoznawstwie, spełnia ono także we wszystkich naukach indukcyjnych: tylko zapomocą porównania można uogólniać fakta i torować drogę zastosowaniu metody dedukcyjnej. Dla tego też określenie „porównawcza“ z równem prawem pasuje do wyrazów „geografia,“ „geologia,“ zoologia,“ „botanika,“ „historya,“ „psychologia“ i t. d., jednem słowem, z tego stanowiska wszystkie nauki są *porównawcze*.

Jednakowoż przy „językoznawstwie *porównawczem*“ przymiotnik „porównawcze“ ma znaczenie historyczne. Zawdzięcza on swoje pochodzenie nowej szkole, nowemu kierunkowi w językoznawstwie, który to kierunek dokonał odkryć wielkiej doniosłości. Polegał on na porównaniu pomiędzy sobą grup języków pokrewnych, głównie zaś na porównaniu języków „indoeuropejskich“ (na początku bieżącego stulecia). Podobne znaczenie historyczne mają też nazwy „anatomia porównawcza,“ „geografia porównawcza,“ „mitologia porównawcza,“ „prawoznawstwo porównawcze“ i t. d. Ale jestto tylko jedna chwila w historyi nauki, chwila, kiedy porównanie w kierunku nieznanym dotychczas ze stanowiska naukowego, doprowadziło do ogromnych i zupełnie nowych rezultatów.

Nazwa „filologia *porównawcza*,“ oprócz zbytecznego przymiotnika „porównawcza,“ jest niedokładną jeszcze z tego względu, że przez „filologię“ rozumiemy zwykle inną naukę, o której stosunku do językoznawstwa powiem kilka słów niżej.

Nakoniec stosować nazwę *gramatyka porównawcza* do językoznawstwa wogóle — jestto brać *partem pro toto* (część zamiast całości), ponieważ gramatyka porównawcza czyli po prostu gramatyka przedstawia tylko jedną część językoznawstwa, które stawia sobie do rozwiązania nie wyłącznie gramatyczne, ale także i inne kwestye. Przymiotnik „porównawcza“ jest tu również całkiem zbytecznym i każda gramatyka jest porównawczą, prawdziwa zaś gramatyka naukowa pewnego języka może być tylko jedna, t. j. z jednej strony indukcyjna, z drugiej zaś historyczna i porównawcza w najnowszem znaczeniu tego wyrazu.

Tak więc, jeżeli naukę, której część stanowi „gramatyka porównawcza języków indoeuropejskich,“ nazywać nie według jej przemijających kierunków, ani też nie według pewnych naukowych operacyj, w niej dokonywanych, ale tylko według przedmiotu badania w całej jego pełni, w takim razie, na podobieństwo „przyrodoznawstwa,“ najwłaściwszą nazwą dla nauki, której przedmiotem jest język, będzie po prostu albo „*badanie języka* i mowy ludzkiej w ogólności,“ albo *językoznawstwo* i t. d., albo *lingwistyka, glottyka, glottologia* i t. p. Podobne nazwy niczego nie przesądzają, ale wskazują jedynie na przedmiot, z którego dziedziny bierzemy kwestye naukowe. Zresztą można nazywać sobie pewną naukę, jak się komu podoba, a w szczególności można upiększać ją przydomkiem „porównawczej,“ byleby tylko wiedzieć, że porównanie stanowi tu nie cel, ale tylko jeden ze środków, i że nie jest ono wyłączną własnością językoznawstwa, ale ogólną własnością wszystkich bez wyjątku nauk.

Językoznawstwo dzieli się przedewszystkiem na *czyste* i *stosowane*. Czyste zajmuje się kwestyami czysto lingwistycznemi, t. j. bada języki i na zasadzie badań szczegółowych robi ogólne wnioski; stosowane zaś stosuje rezultaty językoznawstwa czystego do kwestyj z zakresu innych nauk (mitologii, etnografii, etnogenii, historyi, kultury i t. d.).

Językoznawstwo czyste można podzielić na dwie części: 1) *pozytywną* i 2) *transcendentalną*. Językoznawstwo pozytywne ogranicza się wnioskami z faktów, dostępnych badaniu, transcendentalne zaś zajmuje się takiemi zagadnieniami, które leżą właściwie poza granicami dostępnej dla badania rzeczywistości i mogą być rozwiązane głównie tylko za pomocą spekulacyi i rozumowania analogicznego. Tutaj należy między innemi kwestya o początku mowy ludzkiej i t. d. Ale chociaż same kwestye są transcendentalne, t. j. odnoszą się do faktów, których nie można ani spostrzegać, ani sprawdzić, to jednakże metoda powinna być pozytywną.

Niektórzy lingwiści wyłączają zupełnie z zakresu lingwistyki czyli językoznawstwa podobnego rodzaju zagadnienia i oddają je w całości tak zwanym filozofom języka, którzy z swojej strony przywłaszczają sobie dziedzinę, do której ich wiadomości pozytywne nie dają im żadnego prawa. Według mnie filozofia języka bez gruntownej znajomości rezultatów językoznawstwa pozytywnego nie może wcale istnieć jako poważna nauka, ale tylko jako nieprodukcyjne młócenie słomy i co najwyżej, przyjemne zabijanie czasu. Podobnie filozof natury bez gruntownej znajomości nauk przyrodniczych nie może wcale być uważany za poważnego uczonego. Pomimo to nie można zaprzeczyć, że, jak w innych dziedzinach działalności ludzkiej, tak też i w językoznawstwie istnieje podział pracy, i że jedni lingwiści zajmują się głównie częścią pozytywną swojej nauki, drudzy zaś głównie częścią transcendentalną. Naturalnie, nie jest wcale niemożliwością połączenia w jednej osobie wiadomości filozofa z gruntowną znajomością językoznawstwa porównawczego.

Pierwszą, a zarazem zasadniczą i najważniejszą część językoznawstwa stanowi *językoznawstwo pozytywne*, rozpadające się na dwa oddziały: 1) *gramatykę* i 2) *systematykę* czyli *klasyfikacyę języków*. Gramatyka jest to wszechstronny rozbiór składowych części mowy ludzkiej; systematyka zaś zajmuje się porządkowaniem języków, jako niepodzielnych całości, według ich cech charakterystycznych i według ich prawdziwego pokrewieństwa genetycznego.

Podstawę całego językoznawstwa stanowi *gramatyka*. Ze swej strony dzieli się ona na kilka części, stosownie do natury języka badanego. Tak np. w zastosowaniu do języków „indoeuropejskich,“ rozpada się na *fonetykę* czyli *naukę o głoskach (głosownię)*, na *morfologię* czyli naukę o *znaczeniowych częściach* wyrazu w ich wzajemnym związku i nareszcie na *składnię* (syntaksys) czyli naukę o łączeniu wyrazów w zdania i o ich znaczeniu w podobnych połączeniach. Ale taki podział daje się stosować nie do wszystkich bez wyjątku języków. Tutaj więcej, niż gdziekolwiek indziej, należy się wystrzegać wszelkiej „aprioryczności.“ Jak osteologia, t. j. nauka o kościach, możliwą jest tylko przy rozbiorze zwierząt, posiadających kości; jak badanie *prawodawstwa* i wogóle prawa pisanego możliwem jest tylko przy badaniu narodów, mających prawa pisane, tak samo np. nauka o końcówkach przypadkowych i osobowych, jako część gramatyki, możliwą jest przy rozbiorze tylko tych języków, którym w samej rzeczy właściwe są końcówki przypadkowe i osobowe. Z tego pokazuje się cała bezpodstawowość tych ogólnych, apriorycznych czyli tak zwanych „filozoficznych gramatyk,“ w których jest miejsce np. tylko dla czterech przypadków, ani mniej, ani więcej, t. j. dla „wer-fall,“ „wess-fall,“ „wem-fall“ i „wen-fall“ (nominativus, genitivus, dativus, accusativus), bez względu na to, że w wielu językach nie ma wcale żadnego „fall'a“ (przypadku), w innych zaś bywa ich nawet po kilka dziesiątków.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

J. Baudouin de Courtenay.

Kronika rosyjska.

Jubileusz wielkiej reformy. — Mowa Kawelina. — Wspomnienia i nadzieje. — „Centralne kółko.“ — Usunięcie się Mendelejewa.

Dzień 3 marca (19 lutego) b. r. jako dwudziesta rocznica wyzwolenia włościan w Rosyi stanowi dla opinii publicznej a wszczególności dla prasy niezgłębiony przedmiot rozpraw. Dzienniki pełne są uwag, rozmyślań, wynurzeń, rozczarowania lub nowych pragnień, — bo też w rzeczy samej fakt pierwszorzędnego dziejowego znaczenia usprawiedliwia w zupełności tak żywe zajęcie. Postaramy się zaznaczyć tu pokrótce główne tętna tych rozpamiętywań, o ile one znalazły wyraz w organach dziennikarskich.

Przedewszystkiem należy się uwaga mowie pana Kawelina, ogłoszonej w dzienniku *Poriadok*. P. Kawelin brał swego czasu udział w pracach redakcyjnych komisyi, przygotowującej reformę; uważanym przeto być może za kompetentną a bezstronną powagę krytyczną po dwudziestoletniej jej próbie. Członkowie owej komi-

syi zebrali się w tym roku na uroczysty obchód pamiątki i przy tej to sposobności p. Kawelin wypowiedział wspomnianą wyżej mowę. Zauważywszy, że wyrażenie „uroczystość" nie ze wszystkiem licuje z przedmiotem obchodu, mówca powiedział dalej: „I to, cośmy w tych dwudziestu latach przeżyli, również mało usposabia do uczuć radosnych, do uroczystego nastroju. Któż z nas nie wierzył gorąco, że zniesienie niewoli da włościaninowi naszemu dobrobyt materyalny, wywoła ekonomiczny rozkwit, poczucie osobistej godności i prawa, rozwinie oświatę i moralność, jednem słowem przyniesie z sobą wszystkie dobrodziejstwa obywatelskiej wolności?" Nie można jednak posądzać mówcę, iżby przez skonstatowanie tego faktu chciał podać w wątpliwość samą wartość zasadniczej reformy. Bynajmniej. Rozczarowanie, jakiego ona stała się przyczyną, p. Kawelin tłomaczy tem, że „zaledwie tylko ustawa z 19 lutego 1861 r. stała się prawem, a natychmiast duch jej gdzieś uleciał, pozostała tylko litera; co więcej, nawet ta litera, gdzie tylko się dało, była tłomaczoną na szkodę, zamiast na korzyść milionów nowych obywateli. Praktyka administracyjna nie krępowała się zresztą nawet literą ustawy w przeszkadzaniu im w korzystaniu z praw otrzymanych.

Istota tych praw została skażoną. Wskutek tego do dawnej ciemnoty i nieokrzesania mas ludu przybyła jeszcze ruina doprowadzająca go do rozpaczy. Prawna zawisłość i administracyjna nad ludem opieka zluzowaną została przez równie bezlitośny i gorszy jeszcze ucisk ekonomiczny. O zbliżeniu interesów właścicieli dóbr i włościan nie ma ani mowy; rozdwoili się oni więcej niż kiedykolwiek a wzajemne ich stosunki zaostrzają się wybitnie." Zauważywszy następnie, że kwestya włościańska dotyczy bytu 80% całej ludności państwa, pan Kawelin stawia pytanie: co robić? Po działalności zebrań ziemskich i szlacheckich nie spodziewa się niczego. „Pozostaje czekać, jak to i dawniej u nas bywało, na działanie oświeconej i przejętej miłością ojczyzny mniejszości społeczeństwa, wspartej powagą państwowej władzy."

Godzien uwagi komentarz do tej mowy spotykamy w tygodniku *Strana*. „Słowa p. Kawelina rozumiemy tak, że usługi oświeconej, przejętej miłością kraju mniejszości będą i nadal potrzebne narodowi, i nadal wspierane powagą władzy państwowej — tylko już nie bez narodu, już nie bez udziału bezpośredniego z jego strony i nie bez jego powagi, wezwanej na pomoc władzy państwowej." Jestto główna nuta przebijająca się we wszystkich głosach, a streszczająca się w tych słowach cytowanego już pisma: „niechaj lud pozyska sam możność wypowiedzenia swoich potrzeb, sam rozstrzygnie swoje sprawy; po za tą drogą rozwiązania kwestyi nie widzimy zbawienia... Jeżeli dzieło 19 lutego, pomimo że było przygotowanem i opracowanem przez najdzielniejsze umysły, przez najszlachetniejsze usiłowania poświęcającej się dla narodu jego mniejszości, której projekty otrzymały sankcyę władzy prawodawczej, w rezultacie swoim doprowadziło jednak do przesilenia, to dalej niepodobna już liczyć na te same środki. Sprawa uwolnienia i uwłaszczenia trudną była w latach 1859—61. Lecz kwestya naprawy niedokładności tego dzieła, kwestya zaostrzona przez wywłaszczenie, jakie się szerzy naprzekór uwłaszczeniu, przez ucisk ekonomiczny i administracyjny, „który ironicznie spogląda nam w oczy, jakby na urąganie wielkiej myśli oswobodzenia — to nie da się już rozstrzygnąć dawnym sposobem: z inicyatywy władzy ze współudziałem pewnej liczby wykształconych ludzi. Dla skutecznego załatwienia sprawy potrzeba już więcej bezpośredniej świadomości — słowem, niezbędny jest głos samego narodu."

Gazety zajęte temi wspomnieniami nie nadały dostatecznego rozgłosu faktowi, który zaszedł w uniwersytecie petersburskim. Wiadomo czytelnikom, że podczas uroczystego aktu tej instytucyi część studentów, mianująca się „kółkiem centralnem," rozrzuciła buntownicze proklamacye i wywołała manifestacyę przeciwko ministrowi oświaty. Gdy sąd winnych ukarał i wydalił, zdawało się, że chwast wyrwany z korzeniem. Tymczasem „centralne kółko" dało znak życia i wystąpiło przeciwko swemu profesorowi, słynnemu chemikowi Mendelejewowi, który zganił studenckie awantury. Musiało „centralne kółko" dostatecznie pomścić tę naganę, skoro Mendelejew zawiadomił słuchaczów na ostatniej lekcyi, że katedrę opuszcza. Nie chce bowiem narażać się na dotkliwe, bezimienne zniewagi, które nie oszczędzają ani jego ludzkiej, ani naukowej czci. Daremne były prośby młodzieży, profesor nie uległ. To też dojrzała i rozumna opinia, niechrzcząca każdej awantury mianem bohaterstwa, nie może znaleźć dość ostrych słów dla potępienia sprawców tego wypadku. Najliberalniejszy i zawsze w obronie młodzieży stojący dziennik *Strana* pisze: „Wprzódy was prześladowała administracya i działalność wasza w tych warunkach kwitła. Teraz może dla was zdarzyć się coś daleko gorszego od prześladowań administracyi, jeżeli nakoniec dokuczycie samemu społeczeństwu. Jak „akademiccy niemcy" nie przyjęli do akademii szanownego uczonego rosyjskiego, podobnie wy teraz wyganiacie go nawet z uniwersytetu, a czynicie to dla tego, że nie uznajecie żadnej łączności ze społeczeństwem, że uważacie się za uprawnionych do okazania mu jawnego lekceważenia z powodu swych niezrozumiałych i bezmyślnych wichrzeń. Wierzcie, nie ma roli niewdzięczniejszej, jak rola kółka, które dokuczyło publiczności; a wy widocznie chcecie rolę tę odegrać."

LIBERUM VETO.

Kalendarz reporterski. — Chroniczne wieści. — Z ubiegłego tygodnia. — Poszukiwanie nowych źródeł podatku. — Rewizya przepisów prawa małżeńskiego. — „Stara lira" w sprawie służebności. — Zatwierdzanie kanalizacyi. — Zły jego wpływ na p. Apfelbauma. — Swojskość tego pana. — Dwór Melpomeny i jego budynki. — Bohater arystokratycznego dramatu. — Za 245 rubli. — Mowa Spasowicza. — Polemika z *Poriadkiem*. — Świstek socyalistyczny w Warszawie. — Ojcowskie napomnienie i pretensya *Gaz. Polskiej*. — Skarga Jeża.

Reporterom pism codziennych należałoby w dostarczaniu wiadomości zrobić bardzo ważne ułatwienie. Mianowicie, możnaby ułożyć kalendarz z rozkładem na wszystkie dni miesiąca rozmaitych nowin, które dziś powtarzają się ciągle, ale bez żadnego ładu i systematyczności. Zdarza się np. że doniesienie o zatwierdzeniu kanalizacyi przypadnie raz w odstępach tygodniowych, a drugi raz w miesięcznych; albo ponawia się bardzo często, albo nie daje znaku życia. Czyby więc nie należało spisać wszystkie wieści chroniczne i przytwierdzić do pewnych oznaczonych dni? Byłaby to wielka wygoda dla reporterów i czytelników: pierwsi wiedzieliby, co im z kolei donieść wypada, drudzy—jakie numery projektów nie zostały jeszcze wylosowane. Dając dobry przykład urzeczywistnienia tej myśli, spisuję kolejno z ubiegłego tygodnia niewylosowane jeszcze doniesienia:

Sobota. Poszukiwanie nowych źródeł podatku.

Niedziela. Rewizya przepisów prawa o małżeństwie.

Poniedziałek. Ostateczne uregulowanie służebności.

Wtorek. Ostateczne zatwierdzenie kanalizacyi.

Środa. Ostateczne wydanie koncesyi na drogę Iwangrodzko-Dąbrowską.

Czwartek. Regulacya koryta Wisły.

Piątek. Nowy teatr.

Sobota. Szkoła w Łęcznie.

Takie były główne lunacye reporterskie na niebie naszej prasy, z którego ani na chwilę nie schodził obserwowany przez wszystkie teleskopy p. Apfelbaum.

Co do pierwszej nowiny, to łatwo pojmujesz czytelniku, że nie myślę wcale pomagać komisyi do wynalezienia nowych źródeł podatku; owszem, bardzo cieszę się z jej kłopotów. Gdyby szło o źródła nafty lub siarki — rzecz inna; ale podatek nie jest wcale produktem ani tak pożądanym, ani tak skąpo u nas rozpowszechnionym, ażeby go trzeba było prywatnemi siłami pomnażać. Komisya, utworzona w r. 1879 do wypracowania projektu reformy podatkowej, zastanowiwszy się dobrze przez $1\frac{1}{2}$ roku nad swymi pomysłami, doszła do przekonania, że musi zdobyć się na inne. Zanim te inne również w własnych jej oczach zbledną, reporterzy będą mieli nieraz jeszcze sposobność donieść o... pracach komisyi podatkowej.

Wiadomość o rewizyi przepisów prawa małżeńskiego obudziła się, jeśli mnie pamięć nie myli, po trzech latach. Jakkolwiek przed zaśnięciem jej pisma rosyjskie upewniały, że władza konsystorzów ulegnie znacznemu okrojeniu na korzyść sądów, wątpię bardzo, ażeby ta operacya miała być tak bliską. Wieść o niej jest może tylko prostym reporterskim domysłem, zwykłą kaczką, puszczoną na staw dziennikarski.

Sprawa służebności od czasu swych narodzin przybierała tyle kształtów, że doprawdy nie wiem, który w niej jest ostatnim. Miała być pozostawioną w obecnym stanie, uregulowaną przymusowo, przyspieszoną na drodze układów dobrowolnych, powierzoną w kwestyach spornych sądom i t. d. Jaką wiadomość przyniesie fala, która nadpłynie po wydrukowaniu moich słów, nie wiem; dla tego wolę cię nie bałamucić czytelniku i — jak niemcy mówią — „pozostać przy starej lirze".

Nie zliczyłbym nawet przybliżenie, ile razy kanalizacya według naszych pism już została zatwierdzona, chociaż dotąd mimo ciągłego wyłażenia na dachy i wyglądania p. Prezydenta, nie możemy się doczekać tej radosnej wieści. Już kilkakrotnie reporterzy, przysłoniwszy oczy rękami, krzyknęli: „Jedzie — wiezie!," drgnęliśmy, klasnęli w ręce, aż tu zamiast p. Prezydenta ukazał się inżenier miejski, jadący z Petersburga po nowe „papiery." Pogodzilibyśmy się z losem łatwo, gdyby te zawody nie wpływały tak ujemnie na p. Apfelbauma, dzierżawcę wywózki błota. Ani kontrakt, ani naznaczone kary, ani krzyki całej prasy nie zdołały pobudzić tego pana do uprzątnięcia bodaj jednej kupki. Zapewne rozumuje on sobie tak: jeśli kanalizacya już zatwierdzona, to Lindley weźmie się zaraz do roboty i ulice oczyści; po co ja mam się fatygować? Że p. Apfelbaum nie kłopocze się o nasze zdrowie, o skutki wyziewów z nagromadzonego błota, dziwić to nie powinno. Władze sanitarne tak nas przyzwyczaiły do stoicyzmu hygienicznego, że nie możemy brać za złe prywatnemu przedsiębiorcy, gdy na naszych chorobach chce zarobić. A zresztą coś warta swojskość. P. Apfelbaum jest możliwy tylko u nas.

Jakkolwiek postawiwszy trójnog na pierwszym lepszym pomniku sławy p. Apfelbauma, ziejącym wyparami, możnaby począć natchnienia Pytyi, nie prorokuję: kto otrzyma koncesyę na drogę Iwangrodzko-Dąbrowską, bo to — mówiąc językiem *Dniew. Warszaws.* — jest dla nas zwykłych śmiertelników *ganz Pomade*; kto ureguluje Wisłę, bo w to nie wierzę; kto założy nowy teatr, bo jestem przekonany, że pani Mel-

pomena będzie miała dla siebie w Warszawie jeden tylko dom, a inne budynki posłużą do niższych przeznaczeń jej dworu.

Miła ta bogini ma u nas obecnie bardzo dużo do roboty. Przybył jej *mały* teatr, przybyły poranne w niedziele przedstawienia, przybył skrzętny wikaryusz teatralnej kapliczki przy Tow. Dobroczynności, przybędą niedługo ogródki, te niewyczerpane krynice reporteryi letniej, słowem, niedługo gdzie spojrzymy, stać będą przybytki tej muzy. Nic nie szkodzi; skoro zaczęliśmy pisać „arcydzieła“ sceniczne na cześć arystokratów, musimy mieć dużo teatrów, bo mamy dużo bohaterów.

Oto jeden z nich, uwieńczony... w sądzie. Pojechał do Paryża i wziął sobie guwernantkę, nie jakąś pierwszą lepszą, ale kuzynkę pani Crémieux. „Co zaszło między nią a hrabią — powiada adwokat nauczycielki — w to nie wchodzę i wchodzić nie mogę,“ dość że p. hrabia, któremu nauczycielka również wchodzić do swego pokoju nie pozwoliła, postanowił tę niezdobytą twierdzę ogłodzić. Umieścił ją samą w pustej oficynie, do której w nocy strzelano, nie kazał dawać obiadów i śniadań, wreszcie, gdy wszystko nie pomogło, zaczął listami znieważać. Skarga biednej kobiety doszła aż do francuskiego ministra spraw zagranicznych, który zobowiązał swego konsula do zaopiekowania się rodaczką. Wytoczono w jej imieniu p. hrabiemu proces — o zniewagę? nie; o jakieś wielkie wynagrodzenie szkód i strat? nie; o dwieście kilkadziesiąt rubli — o jednomiesięczną pensyę i koszta powrotu do Paryża. Miły Jezu! a cóżby na to powiedzieli przodkowie p. hrabiego, gdyby z grobu powstali i usłyszeli, o co ich potomek się procesuje! Dla wydobycia dwustu rubli z posiadacza wspaniałych pałaców i zuchwałych lokajów trzeba było aż sądu, konsula, ministra spraw zagranicznych Francyi! Za dwieście rubli p. hrabia pozwolił swemu obrońcy ujawnić wstydliwą tajemnicę domową co do mniemanej córki, a przeciwnej stronie — taktykę pokonywania guwernantki! Zmieniają się czasy, rody, pojęcia obowiązków i honoru. Sędzia pokoju, uwzględniwszy ten postęp, skazał pozwanego na zapłacenie żądanej sumy. Oby tylko p. hrabia nie zaapelował do Zjazdu a Zjazd nie „zaproponował“ mu wynagrodzenia guwernantki — jak to niedawno na żądanie gospodarza uczynił z jakimś lokatorem — bo p. hrabia, jak ów lokator z pewnością by propozycyi nie usłuchał.

Wypadek z tą propozycyą — *predłożeniem* zdarzył się równocześnie z podaną przez wszystkie pisma nasze mową Spasowicza, wypowiedzianą w Petersburgu na zebraniu towarzystwa prawników. „Przy wprowadzeniu reformy do Królestwa Polskiego nie zastosowano ustawy o sędziach przysięgłych, a postępowanie sądowe winno się odbywać po rosyjsku. Prócz pierwotnego swego założenia: wymierzania sprawiedliwości i przywrócenia naruszonych stosunków — reforma stała się środkiem zaprowadzenia w jednej z dziedzin życia społecznego mowy rosyjskiej, a ten językowy polityczno-narodowy cel zaszkodził prawnej stronie sprawy. Dwie te okoliczności zmniejszyły znaczenie i użyteczność reformy. Wybierać należy jedno z dwojga: albo kwestya językowa jest rzeczą zachcenia, czasowego mniej lub więcej przyjaznego stosunku prawodawstwa do innych plemion: jednych pozbawia języka dla tego, że są azyatami, drugich — za ich krnąbrność i winy polityczne, trzecim — pozostawia go za wierność prawomyślną. Przy takiem postawieniu kwestyi logika na nic się nie zda do jej rozwiązania, a słowa w rodzaju: korzyść państwowa, interes państwowy—nie mają znaczenia. Prawodawstwo musi wybierać albo ustawy sądowe w całej ich rozciągłości, bez obcinania, skażeń, ale z poświęceniem języka — na sądzie bowiem należy dochodzić jedynie prawdy i jedną drogą, a zatem jak ewangelia niech będzie ona głoszoną dziesięcioma, dwudziestoma, wszystkimi możliwymi językami ziemi; albo, na pierwszym planie winien być cel filologiczny: sąd jest przedewszystkiem nauczycielem moralności i wychowawcą narodu w pojęciach prawdy; w takim zaś razie można wydawać ustawy w sposób utrudzający do nich przystęp masom, oraz zmieniać je w najważniejszych ich częściach, pod ich firmą i tytułem wprowadzić coś, jakkolwiek do nich podobnego, lecz w gruncie rzeczy gorszego — z nadmienieniem, że tylko w odległej przyszłości, gdy podsądni w całych masach znać już będą język oficyalny, wtedy dadzą się im istotne, zupełne instytucye sądowe. Lecz nie było przykładu narodu oświeconego, w znaczeniu jego historycznem, ktoryby zatrzymał lepsze instytucye dla siebie, a inne, mniej doskonałe, dał obcym, przyswajanym przez niego ludom — dopóki takowe nie wyuczą się obcego im języka, — co dokonywa się nader powoli.“

Między kilkoma pismami naszemi a gazetą petersburską *Poriadok* wywiązała się dziwna, rozśmieszająca polemika. Warszawski korespondent tej gazety doniósł, że śród nas puszczono świstek socyalistyczny p. t. *Gawędy z ludem roboczym* i że jego nieletni redaktorowie, wychowańcy szkół rosyjskich dostali się w ręce policyi. Na doniesienie to kilka pism naszych odpowiedziało, że owe *Gawędy* nietylko w Warszawie się nie pojawiły, ale nawet pojawić się nie *mogły*. Daremnie korespondent utrzymuje, że je widział, że wiadomość swą czerpie ze źródeł urzędowych — zadano mu kłamstwo. Spór zaczął być śmiesznym; nie chcąc w tej śmieszności brać udziału, nie myślę dowodzić widzącemu, że nie widzi, „dobrze poinformowanemu,“ że nic nie wie, wsunę tylko między wojujące strony uwagę, którą nawet sam korespondent zrobił: i cóżby było w tem nadzwyczajnego, gdyby taki świstek rzeczywiście się pojawił? Propaganda socyalistyczna przeciska się do wszystkich miast Europy, dla czegóżby nie miała przecisnąć się do Warszawy? Dla czego objawienie się jej u nas jest *niemożliwem?* Czy i w tym względzie mamy być najświętsi? Jeżeli korespondent *Poriadka* twierdzi, że polskie socyalistyczne pisemko widział, niech ta wiadomość biegnie sobie w kurs na jego kredyt; ja zaś, chociaż go nie widziałem, nie mam ani prawa, ani potrzeby przeczyć. Co najwyżej powiedzieć mogę do tych, których on wykrył: szanowni apostołowie socyalistycznej ewangelii, nie głoście bzdurstw, bo nie zbierzecie rzeszy a dostaniecie się do kozy.

Pozwól mi teraz czytelniku policzyć się z kilkoma zarzutami, a naprzód z zarzutem „niezastanowienia,“ ofiarowanym mi po ojcowsku przez *Gaz. Polską* z następującego powodu. Jak wiadomo przed kilku miesiącami uwięziono K. Miarkę, jakoby za nadużycie przesełanych na jego ręce składek. Nietylko pisma niemieckie, ale nawet zagraniczne polskie potwierdziły to krzywdzące oskarżenie. Niedość tego: przyjechał do Warszawy jeden z redaktorów szląckich, p. P., który hojną ręką rozsiewał najgorsze o Miarce wieści. Jakkolwiek prasa warszawska nie odbiła w swych kolumnach echa tych pogłosek, przeniknęły one jednak o tyle, że wytworzyły potrzebę dowodnego oczyszczenia z nich Miarki w oczach naszego społeczeństwa. Sądziliśmy, że redakcye mające możność skutecznego podjęcia tej roli, rozproszą potwarczy rzut, oslawiający człowieka, którego ogół nasz zaszczycił tak wielkiem zaufaniem. Tymczasem zamiast gruntownej obrony, spotykamy w kilku pismach jednobrzmiące i ogólnikowe zapewnienie o niewinności Miarki. Przeczytawszy ten plakat, zauważyłem w poprzednim numerze *Prawdy*, że on dla sądowego oskarżenia, obelg prasy niemieckiej i szląkiej stanowi „przeciwwagę za małą“ i że „uczciwie zasłuży się ten, kto większą zdobędzie.“ Tyle tylko potrzeba było *Gazecie Polskiej* do wytoczenia mi w swych szpaltach procesu: 1) za nieusprawiedliwione *jej* zaczepienie; 2) za używanie broni, którą walczy inny współzawodniczący z *Prawdą* tygodnik; 3) za wyrządzenie ciężkiej krzywdy nieszczęśliwemu człowiekowi. Ponieważ dla *Gazety Polskiej* „prawda jest zasadą,“ może więc szan. przeciwniczka zechce mi powiedzieć, gdzie *ją* zaczepiłem? Wyczytawszy artykuł w kilku pismach, mówiłem o kilku pismach, nie wspomniawszy nawet tytułu *Gazety Polskiej*, gdyż wogóle *Prawda* stara się w polemice zachować zupełną bezimienność. Powtóre, jakiej to ona używa broni, którą dotąd walczył tylko jakiś tygodnik? Zdaje mi się, że w arsenale naszym nie ma ani jednego oręża, którego by *Gazeta Polska* bez obrazy dla siebie w polemice przyjąć nie mogła, jeśli naturalnie wyłączymy zasadę, że wszystko, co jest przeciw niej jest przeciw czci. Po trzecie, czemże to my wyrządzamy krzywdę Miarce, jeśli żądamy od tych, którzy zaopiekowali się jego honorem, ażeby bronili go lepiej? Kto go obwinia? Sąd niemiecki, gazety pruskie i szlązkie — czy dla nich wystarczy ogólnik? Czy uwagi nasze, które skłoniły *Echo* do naiwnego wyznania nie pomogły sprawie, zdjąwszy z artykułu *Gaz. Polskiej* szkodliwy dlań charakter komunikatu? Ponieważ *Gaz. Polska* lubi polecać innym „zastanowienie,“ sądzę więc, że zastanowiwszy się nad temi pytaniami, zszyje napowrót swą rozdartą z oburzenia szatę a co najmniej w wystąpieniach swoich przeciw *Prawdzie* nie będzie dla niej wyszukiwała porównań według niematematycznej reguły: dwie ilości niezgodne z trzecią, są sobie równe...

Nakoniec małe sprostowanie. T. T. Jeż pisze w *Tyg. Illustrowanym:* „Nie sposób wyobrazić sobie przykrości większej nad tę, jakiej doznawać się zdarza rzemieślnikom, gdy odrzucają im robotę *zamówioną...* Redakcya *Prawdy* sprawiła mi przykrość z osłodzeniem pigułki, zwracając mi artykuł, zawierający ocenę ogólną pracy p. W. Przyborowskiego p. t. *Włóścianie u nas i gdzieindziej.* Zwrót odbył się w sposób grzeczny i uprzejmy; był jednak dla mnie niespodzianką, która mnie zdziwiła wielce.“ Ponieważ pisarzowi tak przez nas cenionemu jak T. T. Jeż nie mieliśmy zamiaru zrobić przykrości i nie chcemy, ażeby nas posądzał o zadawanie mu „pigułek“ nawet „słodzonych,“ prostujemy skargę szan. autora następującem wyjaśnieniem. „Obstalowaliśmy“ u niego nie sprawozdanie z książki p. Przyborowskiego, lecz w ogólności artykuły; owo sprawozdanie odebraliśmy w chwili, gdy specyalny nasz krytyk historyczny referat swój już nam dostarczył; odesłaliśmy Jeżowi jego rękopis natychmiast z objaśnieniem zwrotu i prośbą, ażeby w dalszych korespondencyach nie dotykał książek u nas wychodzących, gdyż ciągle zdarzać się mogą podobne spotkania, zwłaszcza, że oddaleni od autora, nie możemy ani jego uwiadomić, o czem sami piszemy, ani wiedzieć, o czem on pisać zamierza. Mimo całej czci, jaką mamy dla Jeża, nie wahalibyśmy się ani chwilę wyrazić naszej niezgody na jego artykuł; w tym jednak wypadku rozstrzygnęła zupełnie inna okoliczność. Dla czego nam Jeż nie uwierzył?

Poseł Prawdy.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 10 marca.

Ogólną cechą polityki dni ostatnich jest polepszenie się stosunków pomiędzy kuryą

rzymską i rządami mocarstw europejskich. Zarówno w Niemczech jak i we Francyi występuje pomyślny zwrot w tym kierunku. Przyczyną tego jest z jednej strony pokojowe usposobienie wpływowych sfer przy Watykanie, a z drugiej znowu złe skutki walki kościelnej, jakie się, w Niemczech zwłaszcza, coraz więcej uwydatniają. Zresztą wspólna sprawa zagrożonego przez socyalistyczne podkopy obecnego ustroju społeczno-państwowego znakomicie wpływa na skłonienie rządów do możebnych ustępstw w zakresie stosunku państwa do kościoła.

We Francyi, pomimo energicznego podciągnięcia duchowieństwa pod ogólne postanowienia prawa państwowego, stosunki z Rzymem poprawiły się, dzięki osobistym usiłowaniom nuncyusza papieskiego, Msr. Czackiego. Przyobiecał on starać się o to, ażeby w przyszłości żaden jezuita jako nauczyciel ani do gimnazyum, ani do seminaryów przystępu nie znalazł. Ministeryum zaś ze swej strony oświadczyło, że nie ma nic przeciwko temu, ażeby dominikanie i inni członkowie zakonnych stowarzyszeń, nawet w właściwych sobie ubiorach, odbywali kazania pasyjne w kościołach francuskich. Pomimo to wszelako minister wojny Farre, przy obradach parlamentarnych nad systemem rekrutowania armii, głosował za wnioskiem o pociągnięciu do powinności wojskowej wychowańców duchownych i nauczycielskich seminaryów.

W Niemczech ustępstwa na polu walki cywilizacyjnej świadczą jedynie o tem. że ks. Bismarck czuje konieczność rachowania się z położeniem kraju i poparciem, jakiego mu brak po upadku i rozbiciu partyi narodowo-liberalnej. Z tego też powodu, wobec nadchodzących wyborów do parlamentu, widzi on się zmuszonym do oddziaływania na szersze masy wyborców. Tą zatem okolicznością tłomaczy się jego polityka wewnętrzna względem wielu podatkowych a raczej ulg, jakie na rzecz klas roboczych mają być dokonane. Również jako demonstracyę przedwyborczą należy uważać ostatnie wystąpienie kanclerza z obszerną mową w mało stosunkowo ważnej sprawie administracyi miejskiej, a mianowicie w sprawie podatku od mieszkań. Książę Bismarck wystąpieniem przeciwko opodatkowaniu mieszkań chciał pozyskać poparcie dla swej polityki w kole berlińskiego mieszczaństwa, które dotychczas dostarczało stale zastęp członków parlamentarnych narodowo-liberalnej partyi. Tym sposobem kanclerz, który na zapytanie, czy nie chciałby pogodzić się z partyą liberalną, odpowiedział, że nie chce kupować papierów, które spadają i żadnych widoków podwyżki nie przedstawiają, wystąpieniem swem w parlamencie zaatakował liberalizm w jego własnym obozie. Prasa atoli berlińska przestrzegła zawczasu najliberalniejszą cząstkę ludności niemieckiej i zdaje się, że taktyka kanclerza pomyślnego nie odniesie rezultatu.

Anglia sposobi się do energicznego wystąpienia w Afryce południowej i Irlandyi. Widoki pokojowego załatwienia walki z boerami upadły po ostatniej klęsce anglików w Transwaalu. Rząd bowiem po wojennem niepowodzeniu nie uzna za godne swojej wielkości i dumy narodowej traktowanie o pokój ze zwycięzką rzecząpospolitą holenderskich kolonistów. W przewidywaniu dalszej wojennej akcyi, której rozmiaru w czasie i przestrzeni przewidzieć niepodobna, rząd angielski ma zamiar przystąpić do reorganizacyi armii na podstawie projektów generała Robertsa.

W sprawie grecko-tureckiego sporu nie mamy żadnych pozytywnych wiadomości. Pierwsze zebranie rady posłów odbyło się u Göschena poczem obradowano u Tissota. Niemieckie gazety przygotowują publiczność do możebnego niepowodzenia swojej dyplomacyi w sprawie granicznego sporu. Zdaje się, że widoki pokojowego załatwienia jej nie poprawiły się w czasach ostatnich.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. W początkach b. m. odbyło się walne zebranie galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego, pod przewodnictwem księcia Adama Sapiehy. Sprawozdanie poucza nas, iż Towarzystwo to w ostatnich czasach znacznie upadło, do czego przyczyniło się niezwykłe zobojętnienie jego członków. W ostatnich czasach, niezależnie od subsydyum, otrzymywanego od rządu, Towarzystwo starać się musiało o subwencyę na koszta administracyjne od sejmu, który uchwalił ją na ostatniej swej sesyi w wysokości 3,000 złr. rocznie. Subsydyum, udzielone przez rząd Towarzystwu gospodarskiemu w roku ubiegłym w ilości 14,000 złr. użytem zostało jak następuje: 4,550 złr. przeznaczyło Towarzystwo na podniesienie chowu bydła; na podniesienie uprawy lnu 3,300; na statystykę rolniczą 2,500; na pszczolnictwo i sadownictwo 1,200; na wydawnictwo pisma *Rolnik* i stypendya 1,400; resztę użyto na utrzymanie szkoły fachowej uprawy i wyprawy lnu.

Towarzystwo gospodarskie utrzymywało do niedawna swym kosztem szkołę rolniczą w Dublanach, dziś szkoła ta przeszła na koszt kraju, a Towarzystwo nie jest nawet w stanie zdobyć się na utrzymanie własnego organu *Rolnika*, jedynego rolniczego pisma w Galicyi i wyjednało dlań stałą subwencyę od rządu w wysokości 800 zrł. rocznie. Smutna to doprawdy ilustracya stosunków galicyjskich!

— Grono wychowańców b. Szkoły Głównej, wyprawiło w dniu 5 b. m. obiad b. prof. dr. Szokalskiemu, celem okazania mu uznania swego za gorliwą pracę dla dobra ogółu. Osób zebranych było około pięćdziesięciu.

— Testament ś. p. Kickiego, przeznaczający przeszło milion rubli na rzecz Towarzystwa Osad rolnych, z zastrzeżeniem obracania dochodów na założenie instytucyj, mających na celu dobro publiczne i korzyść włościan Królestwa, został zatwierdzony, dzięki poparciu J. W. naczelnika kraju.

Literatura polska. Zeszyt marcowy *Biblioteki warszawskiej* zawiera prace następujące: *Apoteoza człowieka i wznowienie dualizmu wschodniego w filozofii wschodniej* przez Seweryna Smolikowskiego; *Nowo odnaleziony pomnik piśmiennictwa polskiego* przez Zdzisława Dębskiego; *Przegląd teatralny* przez R. W.; *Siostra miłosierdzia*. Powieść przez Emila Castelara; *O najważniejszych odkryciach geograficznych w roku 1880*, przez Wacława Nałkowskiego; *Nowe dokumenta do dziejów apostołów słowiańskich*. przez Bronisława Grabowskiego; *Zdobycie Babilonu przez Cyrusa, według owoczesnej kroniki babilońskiej*. Notatka historyczna, przez I. Radlińskiego: *Wycieczka do Białowieży*, przez Zygmunta Glogera; *Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego; Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne; Nekrologia.*

— Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie, wyszły ostatnie dwa tomy *Dzieł Adama Mickiewicza*, w zupełnie nowem, powiększonem wydaniu, w nowym układzie, którym zajmował się Wład. Mickiewicz wspólnie z Rettlem.

— W *Bibliotece Polskiej*, wydawanej przez tęż księgarnię, ukazały się *Pamiętniki Wybickiego*, w nowem wydaniu.

Dziennikarstwo polskie. W d. 6 b. m. wyszedł w Krakowie pierwszy numer dwutygodnika polskiego p. t. *Krakowianin*.

— Do *Kłosów* dołączono jako premium nader piękny drzeworyt, będący kopią obrazu Matejki *Gryfina w sporze małżeńskim z Leszkiem Czarnym*.

— *Wiek* rozpoczął w osobnym dodatku druk ciekawej pracy: *Wspomnienia i pisma z czasów mojego wygnania*, Ludwika Kossutha.

Literatura niemiecka. Wiedeńska firma Hartlebena wydała do tej pory już dziesięć tomów dzieł J. I. Kraszewskiego, a mianowicie z powieści: *Hrabinę Cosel, Ulanę, Sfinksa, Jak się pan Paweł żenił i jak się ożenił* i *Straconego syna*, oraz utwory dramatyczne: *Trzeci maja* i *Trafiła kosa na kamień* (po niemiecku: Stahl und Glein). Firma wspomniana zawarła z J. I. Kraszewskim, umowę w celu wydania wszystkich jego powieści w przekładzie niemieckim a przytoczone powyżej przekłady rozpoczynają olbrzymie to wydawnictwo.

Malarstwo i rzeźba. Na wystawę Towarzystw: Zachęty Sztuk pięknych przybyły następujące obrazy Alchimowicz Kazimierz *Cyganka, Włoszka* i *Głowa dziewczynki* — studya; Grabowskiego Andrzeja *Portret prowincyała OO. Bernardynów;* Kleczyńskiego Bohdana *Piątka;* Laszczyńskiego Bolesława *Zamysły wojenne* (Pan Tadeusz pieśń V); Ryszkiewicza Józefa 4 obrazy: *Na drogę, Ucieczka, Schadzka* i *Strach.*

Teatr. Na scenie warszawskiej wystawiono po raz pierwszy oryginalną komedyę Leopolda Świderskiego p. t. *Jesienią.*

— We Lwowie rozpoczęła przedstawienia w teatrze hr. Skarbka francuzka trupa nadworna ks. Karola rumuńskiego, pod dyrekcyą p. Deschamp.

Nekrologia. Mikołaj Ferienczih, zasłużony publicysta słowacki, redaktor *Narodniego Hlasnika* i *Narodnich Nowin*, zmarł w d. 3 b. m. w St. Martin, w Węgrzech.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Skj. Usprawiedliwienia wyrzutów i zarzutów pańskich ani w zasadach naszego pisma, ani w wywodach przytoczonego artykułu dopatrzeć się nie możemy. Wynika to zapewnie stąd, że Pan nie przeprowadzasz dość ścisłej granicy między spotwarzaniem teoryi a jej krytyką. Nam idzie tylko o tę ostatnią. Znamy bardzo dobrze zasługi tego systematu i umiemy cenić jego pozytywne wnioski, ale co dla jego wyznawców jest ewangelią lub kanonem, to dla nas może być tylko przedmiotem swobodnego rozbioru. Nie żądaj Pan od nas dla tej szkoły posłuszeńswa i nietykalności. Że ona oddziałała szeroko i głęboko, przyznaliśmy sami na wstępie artykułu. Co do praw natury — mówi przecie o nich sam George, a mówią niemal wszyscy inni. Co do braku pozytywności psychologicznej — czegóż innego dowodzi np. żądanie, ażeby jedyną miarą pracy był czas na nią zużyty? Straconej młodzieży żałujemy; żeby ona jednak miała być „najlepszą“ — nie sądzimy.

P. A. St. w Niemirowie. Z odparciem wiadomości o przyczynie pożaru kościoła i niewłaściwego postępowania proboszcza udaj się Pan do pisma, które wiadomość tę pomieściło. Nie mamy miejsca na prostowanie cudzych błędów, a fakt sam przez się jest drobny.

Prenumeratorowi. Wyjaśnić możemy Panu na tem miejscu tylko bardzo krótko. Pojęcia: *umysł*, *rozum*, *charakter* — są pojęciami tak nieokreślonemi, że każde stanowcze powiązanie ich dla wyrażenia jakiejś prawdy naukowej jest bardzo wątpliwem. Jeżeli panu idzie o charakter moralny, to biorą w nim udział zarówno *uczucia* jak i *sądy* etyczne, zarówno więc pierwsze jak drugie muszą być kształcone.

P. Filipowi Skor. w Włocławku. Komplet wysłany.

P. St. Mil. w Ber. Już wysłano.

P. W. Sok. w Kijowie. Wysłaliśmy ponownie.

P. K. Woj. Zwróćcie się Panowie bezpośrednio do *Tygodnika Illustrowanego*, który składki na pomnik dla Mickiewicza przyjmuje. Odpowiedź owego magnata wcale nas nie dziwi. Jeśli hr. Stanisław Potocki za 245 rs. 50 kop. obnaża przed sądem zgorszenie swego domu i kompromituje przed zagranicą polskie możnowładztwo, to cóż dziwnego, że jakiś tam B. żałuje dla Mickiewicza kilku rubli. A wreszcie mają słuszność; oni się jego natchnieniami nie karmią.

Pani A. J. w Petersburgu. Niedługo poruszymy tę sprawę; usłużyłaby Pani jej, dostarczywszy nam faktów z życia kobiet kształcących się.

P. Pien. w Kibartach. Wartość rzeczywistą w tym katalogu posiadają dzieła: Bartoszewicza, Hofmana, Mommsena i Szujskiego. Historya literatury polskiej Spasowicza już się drukuje; w tym przedmiocie będzie to książka pożyteczna.

Drowi I. T—H. w Zw. Dziękujemy — skorzystamy.

Sprostowanie. W N-rze 9, w *Kron. bież.* mylnie podano nazwy miejscowości, około których odkopano cmentarzysko pogańskie. Nie *Rozanki* lecz *Kozanki*, nie *Chwaliboszczyce*, lecz *Chwalibożyce;* Dąbie i Łęczyca nie stacye kolei, lecz stacye pocztowe.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Февраля 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.